

Grażyna Kuźnik

Hektary Morela

(10 reportaży o COP Jaworzno)



„Wychowawcy”

Przy projektowaniu okładki wykorzystano tytuły artykułów Grażyny Kuźnik oraz fotografie zamieszczone w książce Krzysztofa Szwagrzyka „JAWORZNO - Historia więzienia dla młodocianych więźniów politycznych 1951-1955”.
Wydawnictwo Klio, Wrocław 1999 r.

Kolejność zdjęć:
A. Makareoko, S. Morel,
Z. Jędrzejewski, M. Ilkiewicz, F. Piątkowski,
T. Adamski, J. Wojdała, P. Byrski.

Spis treści

Spis treści	strona	5
Wstęp	strona	7
Wprowadzenie do historii Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie	strona	11
Praca blokowej nie jest trudna	strona	19
„Świnie” i „Zdrajcy”	strona	27
Hektary Morela	strona	35
Eksperyment pedagogiczny	strona	47
„Wychowawcy”	strona	57
Liga do walki z komuną	strona	63
Więzienne państwo	strona	75
Więźniowie i funkcjonariusze	strona	83
Zaczęto zwalniać politycznych	strona	91
Statystyka zgonów	strona	99
Indeks nazwisk	strona	103

W S T Ę P

Po dziesięciu latach oddaję w Twoje ręce drogi Czytelniku, drugie wydanie artykułów Grażyny Kuźnik opisujących Centralny Obóz Pracy w Jaworznie.

Pierwsze wydanie było robione w pośpiechu, przed naszym drugim Zlotem, pierwszym organizowanym w Jaworznie, w 1992 roku. Wydane były one jako kserokopia wycinanych, i naklejanych na papier artykułów Red. Grażyny Kuźnik, które Autorka drukowała w tygodniku WIEŚCI.

Wiele od tego czasu było wydarzeń i zmian. Winien Ci Czytelniku jestem informacji z okresu tamtego pamiętnego Zlotu. Zaaferowani spotkaniem z Kolegami nie zauważyliśmy zwiększonej liczby Milicjantów kręcących się po Osiedlu Stałym, nie widzieliśmy odwodów Milicji pochowanych w bramach, to nasi dawni „opiekunowie” i „wychowawcy”, na wieść o tym, że mamy spotkać się w Jaworznie – rozpuścili plotkę, że przyjeżdżamy „rozprawić” się z nimi, (czytaj: mordować ich). Nic bardziej bzdurnego nie mogli wymyślić! To były ich końcowe podrygi, bo społeczeństwo Jaworzna przekonało się nacocznie, że nie jesteśmy „bandytami”, jakimi nas oni do tej pory przedstawiali.

Jest na Osiedlu Stałym enklawa pobudowana specjalnie dla pracowników więzienia, nazwana Osiedlem Funkcjonariuszy. Budynki były stawiane według odmiennej dokumentacji, można je bez trudu rozpoznać, chociaż pozornie nie różnią się od pozostałej zabudowy Osiedla. Przystosowane były do obrony. Już wtedy władze myślały „przyszłościowo” i budowały dla swoich utrwalczy domy – bunkry, wiadomo, na złodzieju czapka gore. Okna w piwnicach tych domów są wąskie i długie, balustrady na klatkach schodowych – pełne, betonowe, podobnie jak balustrady na balkonach, wszystko to miało ułatwiać obronę w przypadku zagrożenia, nawet ściany są tu grubsze o pół cegły.

Jakże inny od tego, jaki przedstawia w swoim pierwszym reportażu G. Kuźnik, jest obecnie stosunek Dyrekcji Szkoły Nr 5 do nas, i naszych spraw. Obecny Dyrektor tej szkoły, Pan Leonard Brzeziński zmodernizował Izbę Pamięci, (nie zawaham, się stwierdzić, że działa zgodnie z hasłem, jakie G. Kuźnik cytuje na zakończenie pierwszego artykułu). Wspiera on nasze działania, udostępnia nam sale szkolne na zebrania i Złoty.

Miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, którego byłem „głównym bohaterem”, a które charakteryzuje stosunki do nie-dawna panujące w Jaworznie. Otóż jeden powszechnie znany w więzieniach kapuś i prowokator, zaskarżył mnie do sądu o zniesławienie, gdyż wymieniłem jego nazwisko w artykule, jaki opublikowałem na łamach miejscowej prasy. I chociaż udowodniłem w Sądzie Rejonowym w Jaworznie, że nie był on jedynym więźniem Jaworzna, noszącym to nazwisko (imienia nie podałem), musiałem zamieścić sprostowanie, że nie chodziło o osobnika o imieniu Stanisław. Sprawa była o tyle ciekawa, że on na świadków powoływał byłych funkcjonariuszy więziennictwa. (m. innymi Tertuliana A.), ja stawiałem na świadków kolegów – współwięźniów. Wysoki, niezależny Sąd Rejonowy w Jaworznie uwierzył, jak przystało, tym, którzy byli organizatorami siatki donosicieli, a nie byłem „bandytom” (sygnatura akt sprawy: II K-319/92).

Zmieniła się też i technika, i źródła, z jakich skorzystałem przy opracowaniu tego wydania. Nie zdziw się Czytelniku, jeżeli zauważysz różnicę w tekście pomiędzy tym, a poprzednim wydaniem. Otrzymałem od naszej Koleżanki Doroty z Ludwigsburga (!) maszynopis Grażyny Kuźnik, - Honorowego Jaworzniaka, który poddałem obróbce cyfrowej i przedstawiam go teraz Tobie.

Wzbogaciłem również treść o statystykę zgonów w Obozie, przerażającą w swej wymowie. Zrobiłem to, dlatego, aby nikt nie zakwestionował wypowiedzi funkcjonariuszy Obozu, jakie odnotowała G. Kuźnik w rozmowach z nimi. Statystyka nie jest pełna, zbyt mało w niej dzieci, gdy tymczasem Władysław G. wypowiada się: „...gdy zaczęły umierać im dzieci...”, z czego wynika, że zgonów było dużo. Mechanizm nie ujmo-

wania dzieci w meldunkach zgonów odkryłem nie tak dawno. Wykazywano tylko tych zmarłych, którzy byli ujęci w Księdze Głównej Więźniów, dzieci do lat 14 przebywające w Obozie z matkami - nie były z reguły w niej rejestrowane. W przypadku zwalniania z Obozu nie wypisywano im świadectwa zwolnienia, lecz dopisywano dodatkowo na zwolnieniu ich matki, (patrz załącznik).

Ponieważ w pierwszych miesiącach po wojnie szalał terror i bezprawie, i wystarczał byle donos, by oskarżonego zamknąć w obozie lub więzieniu, nikt nie bawił się w sprawdzanie czy donos jest prawdziwy, czy też nie. Korzystali z tego osobnicy, którzy chcieli się łatwo wzbogacić, korzystała też z tego złodziejskiego procederu również „Władza Ludowa” dla odbierania ludziom ich dorobku, czego dowodem są losy rodziny Niesporków z Katowic. (Dla odebrania im majątku zostali oskarżeni „o odstępstwo od narodowości polskiej”, - (volkslista). Niesporek Karol był przez trzy lata więźniem Jaworzna, jego żona, Jadwiga Niesporek, wraz z 14 letnią córką Dorotą – przeżyły epidemię tyfusu w Obozie Zgoda w Świętochłowicach.) Ciekawe w swojej wymowie jest też zwolnienie z Jaworzna trzynastoletniej dziewczynki „jeńca wojennego”, „ujętego” na dworcu kolejowym w Krakowie, przez dzielne „organ” bezpieczeństwa. gdy wraz z matką powracała do domu po ustaniu zawieruchy wojennej.

Kilkukrotnie w artykułach G. Kuźnik przewijają się wypowiedzi, że byli więźniowie polityczni Jaworzna mogą liczyć w Polsce Ludowej jedynie na pracę na najniższych stanowiskach pracowników fizycznych. Takie były założenia i zamiary ówczesnych władz. Tymczasem, na przekór temu co nam wmawiano, pęd do nauki był wśród nas ogromny. Mimo stawianych przeszkód, większość nas zdobyła wykształcenie średnie, bardzo wielu ma za sobą studia i posiada stopnie naukowe. Jest wśród nas bardzo wielu inżynierów różnych specjalności, nauczycieli, prawników, lekarzy. Są również profesorowie, a wśród nich, prof. chemii, Jan Kapuściński, który był cenionym pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Nowojorskim, i z jego udziałem powstał rewelacyjny lek na schorzenia żołądkowe – LOSEC. Inny nasz kolega, prof. dr nauk tech-

nicznych, Jerzy J. Kacprzyński, był współtwórcą jednego ze statków kosmicznych N.A.S.A., czy wreszcie prof. dr nauk medycznych, Jerzy Świdorski, znany kardiolog, wykładowca uniwersytetu w Bostonie.

O naukowych osiągnięciach b. funkcjonariuszy, którym robiono po 1956 roku różne ułatwienia w uzupełnianiu wykształcenia, jak do tej pory – nie słyszałem, widocznie „zatrzymali się w rozwoju”. Był nawet za to jeden taki, który chodził po Osiedlu Stałym i grzebał w śmietnikach...

Jedynie Salomon Morel w 1964 roku, w trybie zaocznym, na Uniwersytecie Wrocławskim obronił pracę magisterską n t. „Praca więźniów i jej znaczenie”. Pracy tej w archiwach Uniwersytetu nie udało się odnaleźć. Ciekawe to jest o tyle, że w ustroju, który deklarował zwalczanie ucisku społecznego, jednocześnie pracuje się naukowo nad organizowaniem niewolnictwa, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że uniwersytet ten był imienia Bolesława Bieruta, to już jest wszystko jasne. Przecież to właśnie na tym uniwersytecie, masowo studiowali prawo b. funkcjonariusze UB, przepoczwarzając się często w adwokatów. (Nie lubię się chwalić, ale jak się nie dawno dowiedziałem, dwu moich kolegów ze szkoły podstawowej, Leszek N. i Czesiek M. byli śledczymi, a teraz są adwokatami, jeden w Zielonej Górze, a drugi w Gliwicach.)

Pan Kazimierz Koźniewski zasługuje na to, by poświęcić mu również nieco uwagi. W programie TV Warszawa o Julii Brystygierowej, Pan K. Koźniewski opowiadał, jak to wezwała go ona do siebie w roku 1953 roku, poczęstowała herbatą i herbatnikami i zasugerowała by napisał list do instruktorów ZHP. Pan Koźniewski – oczywiście polecenie „Luny” Brystygierowej wykonał z entuzjazmem. Skutek tego listu był taki, że zaostorzono wyroki wydawane na organizacje o rodowodzie harcerskim.

Również w słynnym procesie Melchiora Wańkowicza, przygotowanym na osobiste polecenie Gomułki – K. Koźniewski nie popisał się. Powołany przez mec. Jana Olszewskiego na świadka obrony, (jako kolega córki Krystyny, która zginęła w Powstaniu Warszawskim), na polecenie władz - przepoczwarzył się w świadka oskarżenia...

W artykule „Eksperyment pedagogiczny”, Autorka cytuje jego słowa: „Życzę Pani. aby Pani mniej wierzyła tej gromadzie byłych więźniów Jaworzna, którzy akurat znajdują się na Śląsku i w tamtejszej prasie pisują głupawe listy”. Ta uwaga odnosi się do mnie osobiście, ponieważ w moim liście otwartym do S. Morela, który był opublikowany w Dzienniku Zachodnim piszę, że K. Koźniewski aż piał z zachwyty nad tak pięknym eksperymentem pedagogicznym, jakie było „Więzienie Progresywne”. Nie tylko piał z zachwyty, jak to wówczas stwierdziłem, ale nadal pieje! Zrobił to w wywiadzie, jakiego udzielił redaktorowi TV Warszawa, Panu Witoldowi Krasuckiemu. Z entuzjazmem opowiada jaki to był wspaniały eksperyment, a na pytanie „za co ci chłopcy tam siedzieli?” z równie wielkim entuzjazmem odpowiada „za nic!”

Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że przyznał się wobec Redaktora Mateusza Wyrwicha, że książkę „Bunt w więzieniu”, przedstawiającą więźniów Jaworzna jako degeneratów i morderców, napisał na polecenie władz partyjnych, mamy pełen obraz tego, że mamy do czynienia z osobnikiem ślepo wykonującym polecenia tych, którym wiernie służył i służy nadal.

Teraz pozostawiam Ciebie Czytelniku sam na sam z lekturą i zadumą nad tym, wiele krzywd wyrządził ludziom ustrój, chyba tylko przez ironię nazwany przez jego twórców, „ustrojem sprawiedliwości społecznej”.

Wincenty Bogusław Pyka

Jaworzno, 10 maja 2002 r.



Bloki „osiedla funkcjonariuszy” różnią się wyraźnie od pozostałej zabudowy Osiedla Stałego, która powstawała w tym samym czasie. Na zdjęciach - typowe bloki „osiedla funkcjonariuszy”.

WPROWADZENIE DO HISTORII CENTRALNEGO OBOZU PRACY W JAWORZNIE

(Publikowany po raz pierwszy.)

Trudno znaleźć podobne miejsce, które by widziało tyle zła. Tutaj zdarzyło się wszystko, co człowiek mógł wymyślić przeciwko sobie. Hektary obozu w Jaworznie mogłyby opowiedzieć o XX wieku więcej, niż moglibyśmy wysłuchać.

Niegdyś gnieździły się tu watahy wilków. Dzisiaj po wilkach i po lasach, w których żyły, pozostały tylko nazwy dzielnic - Wilkoszyn, Bory, Dąbrowa, Lipie, Za Lasem.

Informator turystyczny powiatu chrzanowskiego uprzedza, że nie są to okolice malownicze. Uboga roślinność w ogóle nie byłaby godna wzmianki, gdyby nie pewna osobliwość czasami, podczas spaceru, natknąć się można na ogromne ilości wonnych fiołków. Kwiatów, które w stanie dzikim rosną najczęściej na starych cmentarzach.

Informator radzi, by przy planowaniu tras wycieczkowych raczej omijać Jaworzno, lepiej udać się autobusem MPK do sąsiednich miejscowości i stamtąd rozpoczynać wycieczki.

Właściwie każda inna miejscowość wydaje się lepsza, bo w żadnej nie ma obozu koncentracyjnego, ulokowanego w środku miasta, przy głównej trasie.

Rzecz jasna, obóz zlikwidowano już dawno. Na jego terenie powstał zakład karny, ostatnio nazywany „Więzieniem Progressywnym”, ale chociaż wyburzono baraki i ziemię zalano betonem, ludzie nadal mówili „lager”. Może ze względu na więźniczki i druty pod napięciem, które pozostały nietknięte od 1945 roku, ale i na nie w końcu przyszedł czas.

W 1956 roku, mogła być niedziela, jak przypominają sobie niektórzy, wojsko otoczyło obóz. Strach przede wszystkim padł na Osiedle Stałe, gdzie mieszkała większość funkcjonariuszy.

szy. Jego mieszkańcy nie wychodzili z domów. Ciekawscy przyszli ze strony Niedzielisk, drugiego osiedla położonego w pobliżu więzienia. Tutaj strażników prawie nie było. Domy są stare i bez wygod. Już częściej stąd właśnie zabierano za druty? Był czas, że całymi rodzinami. Wtedy jednak, w 1945 roku, w sprawiedliwości niełatwo było się połączyć.

Wojsko czekało i pozwalało czekać ludziom. Trwał Wyścig Pokoju. Królak miał szansę i ludzi szarpała podwójna ciekawość, co dzieje się za murami i jaki będzie wynik etapu. Dzień był ciepły.

Długo grały erkaemy, strzelano z wieżyczek do wnętrza obozu. Strzały nie milkły do wieczora i kiedy koło szóstej aresztowano widzów, było już wiadomo, że bunt się skończył. Wszystko wraca na swoje miejsce. Gapie na milicję, wojsko do koszar.

Przynajmniej jedna kwestia tego dnia została rozstrzygnięta raz na zawsze: Królak wygrał. Co do reszty, pewności nie nabrali nigdy. Jeden z więźniów Jaworzna, Wojciech Machulik, narysował po latach szczegółowy plan obozu i objaśnił w punkcie 20: „Wieże wartownicze (11 kogutków). Dużą strzałką oznakowano miejsce zerwania przewodów wysokiego napięcia w czasie buntu. W czasie buntu wieża 20/4 milczała z powodu gradu kamieni i cegieł, strzelały kogutki z karabinów maszynowych, ogień zaporowy był z kogutka 20/8. Strzelano w plecy.”

Coś się jednak zmieniło. Atmosfera była inna. Ciekawskich wypuszczono wcześniej, niż się tego spodziewano i to oni przyniesli niewiarygodną wiadomość: Dni obozu są policzone. Uznano, że tego rodzaju więzienie nie może stać 20 metrów od asfaltu, wystawione na spojrzenia wszystkich, którzy przejeżdżali główną drogą.

28 kwietnia 1956 roku ostatni naczelnik więzienia, Benedykt Chochół, przeczytał, komunikat o rehabilitacji Tatara, Utnika, Mossora. Ilu związanych z ich „sprawami” przewinęło się przez Jaworzno?

Już wtedy zrobiło się duszno. Chodziliśmy jak ogłuszeni - przypominał sobie wychowawca więzienny Henryk J.

To była chwila, którą więźniowi mogli wykorzystać. Niestety, wykorzystały ją również władze i zlikwidowały obóz.

Bardzo, bardzo paskudnie z nami postąpiono - powie inny wychowawca Jan K. – Musieliśmy odejść bez żadnej odprawy, na o wiele niższe, milicyjne pensje. Dostałem 650 złotych.

Jeden z byłych naczelników obarczy winą za upadek więzienia także i pierwszych budowniczych obozu.

Kapitan Zdzisław Jędrzejewski w napisanej przez siebie monografii zakładu w Jaworznie stwierdził, „Przy projektowaniu urbanistycznych i architektonicznych założeń Jaworzna popełniono dwa zasadnicze błędy. Zaciążyły one nad działalnością tego więzienia, a nawet nad jego przyszłymi losami.”

Pretensje mogła odebrać jedynie dawno nie istniejąca spółka EVO, budująca przemysł energetyczny na Śląsku i popierana przez samego Alberta Speera.

W 1943 roku bardzo się jej śpieszyło. Nowoczesna elektrownia „Wilhelm” o mocy 330 MW wymagała natychmiastowego zwiększenia dostaw siły roboczej. Korzystanie z więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu okazało się zbyt kosztowne ze względu na odległości.

Należało jak najszybciej wybudować nowy obóz pracy, możliwie jak najbliżej kopalni i elektrowni. W pośpiechu wybrano, więc teren pozostawiający wiele do życzenia - prawie pierwszy lepszy, za rachitycznym laskiem jako jedyną osłoną tyłów obozu, między osiedlami Niedzieliska i Dąbrowa, na rozstajach dróg Kraków - Katowice i Wysoki Brzeg, do których wiodła jedyna, właśnie ta szosa. Niewiele dało się ukryć przed ludzkimi oczami.

Pierwszy błąd, dowodził kapitan Jędrzejewski, to bliskość ruchliwej drogi. Pomyłka tym gorsza, że baraki ulokowano akurat w jej pobliżu, kiedy logika nakazywałaby umieścić je raczej pod lasem. Po drugie obóz należało zaprojektować skromniej. Prawie trzech tysięcy więźniów nie można trzymać w środku miasta bez dodatkowych kłopotów. Nawet, jeżeli jest to miasto tak nietypowe jak Jaworzno.

Spółka EVO nie wiedziała jednak, ilu więźniów przyjdzie jej pomieścić.

Początkowo obóz budowała setka wypożyczonych z Oświęcimia häftlingów. Oświęcimski ruch oporu już po dziesięciu dniach robót w okolicy kopalni „Dachs” alarmował: „Arbeitslager - Dąbrowa - Jaworzno - w przygotowaniu”.

„SS-lager Dachsrube” składał się z szesnastu baraków mieszkalnych, dwóch baraków dla funkcyjnych i pięciu usługowych, cokolwiek się za tym określeniem kryło. W 1943 roku Jaworzno przyjęło dwa tysiące więźniów. W rok później trzy tysiące dwustu. Mogli się tu pomieścić wszyscy Żydzi, jacy mieszkali w Jaworznie w 1938 roku.

Firma zamówiła inauguracyjną rzeźbę. Żyd w chałacie, ksiądz i inteligent wskazują zapraszającym gestem bramę obozu. Postawiono ją przed głównym wejściem. Idąc za linią wzroku trzech postaci z rzeźby, trzeba się było natknąć na sylwetkę Bruna Brodniewicza, osławionego kapo i bandyty oświęcimskiego. Witał wchodzących... Komendantem obozu został Bruno Pfütz.

W tej szkole kroki dudnią zupełnie po wojskowemu. Jeszcze dzisiaj Szkoła Podstawowa nr 5 w Jaworznie uderza brzydota. Ciemne korytarze, wąskie drzwi, mury, na których każda farba sinieje. Nawet szkolna kronika tego nie ukrywa. „Budynek jest brzydki, brak urządzeń, konieczny generalny remont”.

Szpetota jednak wrosła w ściany. Zapis z roku założenia szkoły nie przewidywał, że remont nic nie da. Pozostanie i barwa, i wilgoć. Na Osiedlu Stałym zawsze się będzie to miejsce nazywać „siwe bloki”. - Warunki są ciężkie przyznaje dyrektorka szkoły - klasy ciasne, schody niebezpieczne. Ponuro.

Szkolę przeniesiono do bloku, który Wojciech Machulik na swoim planie oznaczył numerem czwartym. „Blok dla więźniów politycznych wydziału zamkniętego. I piętro – więźniowie osądzeni z artykułu 5 dekretu z dnia 13 VI 1946 roku.”

Dyrektorka Cecylia S. ma już niewiele miesięcy do emerytury, całą młodość spędziła w Jaworznie, choć się tutaj nie urodziła. Przyjechała wtedy, gdy o Jaworznie mówili wszyscy - było na pierwszych stronach gazet i nie schodziła z ust działaczy partyjnych. Elektrownię „Jaworzno II”, wielką inwestycję 6-latk, wymieniano jednym tchem z Nową Hutą i odbudową

Warszawy. Zaczętą w 1945 roku budowę kontynuowano przy pomocy Związku Radzieckiego.

Kiedys wczesną wiosną 1955 roku przyjechał do Jaworzna młody dziennikarz. Maciej Słomczyński i w „Życiu Literackim” opisał, co wtedy czuł:

„Wszyscy w Jaworznie wiedzą, komu zawdzięczamy to źródło siły, która poruszy setki tysięcy motorów i maszyn. Wszyscy też wiedzą, że sam Józef Stalin zainteresował się tą sprawą i wydał polecenie przyspieszenia dostaw do Polski. W tej chwili o elektrowni w Jaworznie, o pracy przy jej budowie, o radościach i smutkach ludzi wznoszących ten jeden z najpiękniejszych pomników naszego czasu - można by pisać tomy.”

Ale nie napisał. Ani on, ani nikt inny nie wspomniał również o więźniach politycznych z pobliskiego obozu, którzy w poważnym stopniu przyczynili się powstania dzieła. Niestety, uznanego wkrótce za przestarzałe i bijące rekordy w kapitałochłonności. Dopiero w 1957 roku „Po Prostu” zamieści małą korespondencję:

„Elektrownia Jaworzno II położona w centrum miasta, pokrywa codziennie to miasto dwoma centymetrami warstwy sadzy. Można łatwo obliczyć, za ile lat to miasto, dzięki elektrowni stanie się podobne do Pompei. A przyslijcie tu, kogo!” Tak odplacono za pomnik.

Cecylia S. młodziutka nauczycielka z długim warkoczem, przyjechała jednak do Jaworzna, kiedy jeszcze gazety kipiały z entuzjazmu. W dzisiejszej szkole było wtedy więzienie, o tym wiedziała. Jakie i dla kogo - do dzisiaj nie miała pojęcia. Czy to takie dziwne, że nic to ją nie obchodziło? A niby, z kim miała o tym rozmawiać. Zresztą o obozie w ogóle się nie mówiło. Nic.

Ale to był przecież obóz w środku miasta? Czy to miało jakieś znaczenie? Gdybym wiedziała, że przyjdzie mi tu pracować prawie trzydzieści lat, to może bym się czegoś więcej dowiedziała, ale ręczę pani, że tutaj nikt nie będzie nic wiedział.

Ona sama wie trochę tylko dlatego, że więzienie samo do niej przyszło w postaci porucznika, więziennego funkcjonariusza. Gdzie mogli się spotkać? Pewnie na jakimś szkoleniu, któ-

re wtedy trzeba było zaliczać setkami. Był przystojny, oszczędny w słowach. O swojej pracy milczał jak mur. Ale podobał się jej, tylko, że potem, kiedy zlikwidowano więzienie, nagle wyjechał i nigdy się nie odezwał. Wyszła za męża i przestała o nim myśleć. I chociaż pracuje w tym samym miejscu, o które on raz na zawsze zabronił jej pytać, nie pomyślała o nim od wielu lat. Dopiero teraz. Przyplotnęło nawet nazwisko – Stefan O.

Odnajdę później to nazwisko w spisie funkcjonariuszy więzienia progresywnego w Jaworznie. – Walczył z reakcją – przypomina sobie po chwili Cecylia S. - Tyle wiem bez żadnych szczegółów.

O następne informacje będzie bardzo trudno. Jesienią 1989 roku nikt w Jaworznie nie chce pamiętać o obozie, który zlikwidowano przecież w zamierzczłych czasach.

Dyrektorka szczerze próbuje pomóc. Rozmawia ze wszystkimi, którzy mogliby coś wiedzieć. Wypytuje byłych i teraźniejszych notabli, miłośników miasta, kombatanów i działaczy. Zadaje im tylko jedno pytanie: - Czy wiedzą, co było na miejscu szkoły zaraz po wojnie?

Obóz koncentracyjny dla Niemców, a potem zwykle więzienie, mówi wreszcie ktoś.

A pomiędzy?

Było coś pomiędzy?

Próbuję jeszcze raz, Do ZBoWiDu. Zaraz po wyzwoleniu!?

- dopytują się. – Przecież był pan wtedy w Jaworznie!

Zaraz po wyzwoleniu była euforia, proszę pani! - słyszę w odpowiedzi i odłożono słuchawkę.

Mówiłam pani, tutaj nikt nic nie wie. Ale mamy w szkole Izbę Tradycji naszej szkoły, może tam znajdziemy jakąś informację - szuka chwilę w pamięci. - Chociaż wątpię.

Izba Pamiętek jest chlubą szkoły, ale historia kończy się tutaj na styczniu 1945 roku. Nikt się nie zgłaszał z pamiątkami, o jakie pani chodzi - wyjaśnia sucho opiekunka Izby.- To takie trudne sprawy dodaje patrząc badawczo znad szkolnych kronik - czy wszystko warto upamiętniać?

To powinno wystarczyć - ruchem głowy wskazuje na obozowy pasiak, obozowe trepy, kilka zdjęć. Szkolna kronika,

7 maj 1983 rok: „Obowiązkiem szkoły jest mówić o przeszłości i oddawać hołd tym, którzy za wolność Polski przelewali krew, cierpieli w więzieniach, obozach i oddawali za nią życie. Jednym z takich miejsc jest właśnie nasza szkoła.”



Pierścionek z włosia końskiego wykonany przez Henryka Broniewskiego. Serduszko w kolorze czerwonym, boczne ozdoby w kolorze zielonym. (Eksponat z Izby Pamięci mieszczącej się w Szkole Nr 5 w budynku dawnego więzienia.



„Pan Jezus z owieczką” – miniaturka wykonana przez Leona Jerzego Bylickiego w 1951 roku. (Ekspонат Izby Pamięci.)

„PRACA BLOKOWEJ NIE JEST TRUDNA"

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 12/92 r.)

„Centralny Zarząd Zakładów Karnych Ministerstwa Sprawiedliwości niniejszym stwierdza, że ob. Władysława K., córka Stanisława, była funkcjonariuszką MO i służby bezpieczeństwa, brała udział w walkach zbrojnych z reakcyjnym podziemiem po wyzwoleniu Polski...”

Władysława K. żyje na Niedzieliskach, w najstarszym osiedlu przy obozie. Mieszka samotnie, w przybudówce do synowskiego domu. Zgadza się na rozmowę. Chciałaby w zamian załatwić pewną sprawę, o której później powie, na razie zaprasza do kuchni wyciera ścierką kurz z krzesła, każe siadać. Przestaje być taka wysoka, krzepka. Dawno nikt tu nie był. Dawno nikt jej o tamto nie pytał. To nie znaczy, że nie pamiętają. Odrębność Władysławy K. na Niedzieliskach jest odczuwalna, choć nie zawsze widoczna. Pogorszyło się jeszcze od śmierci męża, również pracownika obozu. W Jaworznie, ksiądz z ambony nazwał go „publicznym grzesznikiem”, odmówił pogrzebu. Nic innego - domyśla się Władysława K., i jej nie czeka.

Niczego się od tych ludzi nie spodziewam - mówi Władysława K. - jak tylko tego, by dali żyć w spokoju.

Kobiety tutejsze nie zachodzą na plotki, żadna z ciastem nigdy nie zajrzy. - Nie potrzeba mi tutaj ludzi, powtarza Władysława K. - A tamte czasy były bardzo dobre. Tak myślałam i myślę. Napisali, że brałam udział w walkach zbrojnych. Właściwie to nie. W obozie karnym w Jaworznie od 1945 do 1951 roku pilnowałam najpierw Niemców, a potem ukraińskich, bandytów, UP-owców.

Obóz karny znajdował się na terenie byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego?

Tak. Wszystko zostało jak było. Wszystko okazało się przydatne.

Władysława K. Jest skoncentrowana. Ręce złożyła na kolanach, nie zajmuje się piciem kawy, która stygnie obok. Niczego nie dotyka, palce są mocno zaciśnięte. Narzuca wrażenie, jakby była na przesłuchaniu. Z drugiej strony cieszy ją i taka wizyta, i taka ułomna rozmowa.

Jaką pani pełniła funkcję?

Byłam blokową. Praca blokowej nie jest trudna. mówi Władysława K. Nie, to łatwa praca, każdy mógłby się nauczyć. Nigdy już nie miała takiej dobrej. Trzeba tylko zrobić apel. policzyć więźniów, przypilnować czy równo stoją. Potem wydać karteczki na kocioł, zaprowadzić do roboty. mieć na oku przy robocie. Samemu się człowiek nawet nie schylił. przyprowadzić do baraków, popatrzeć na ręce, pomacać, czy czego nie przynieśli, ale nie, skąd by mieli przynieść, dobrze pilnowała. Policzyc jeszcze raz i już koniec, jeszcze jakby, co wypadło, ale zazwyczaj nic. Tak wyglądał dzień.

Nie przeszkadzały pani w pracy te baraki, te druty, to wszystko, co zostało po tamtych więźniach, oświęcimskich?

Patrzą na mnie oczy jasne, jakby szklane. Nieruchome. Co odpowiedzieć, żeby było dobrze. Władysława K. Nie pojmuje, o co mi chodzi. Duże ręce blokowej odrywają się od siebie. Z namysłem zbiera szczyptę cukru rozsypaną na stole i umieszcza ją w cukiernicy.

No, mówiłam już - odzywa się w końcu. Wszystko się przydało. Tylko kuchnię zbombardowali, to trzeba było odbudować a reszta została w dobrym stanie i jeszcze mogła posłużyć. Kogutków nawet nie drasnęli. Druty działały. tylko podłączyć. Jeszcze łaźnie trzeba było umyć bo cuchnęły. Różne strzępki, resztki po tamtych się wyrzuciło i zaraz przyjechał transport.

Zgłosiła się do pracy w obozie w lutym 1945 roku. Ktoś jej powiedział, że szukają strażników. Konkurencji nie było, co to, to nie. Nie szło tam wielu za pracą. Z Niedzielisk tylko ona jedna. Prawdę mówiąc, nie mogła zrozumieć. Przecież ona też miała w oczach tamtych więźniów, wiedziała że to „muzułmanie”. Szli wczesnym rankiem prowadzeni przez esesmana, za-

pamiętała jak kuśykali w drewnianych butach robiąc „tryp, tryp”. Nie mogli udźwignąć nawet butów. Widziała ich codziennie idąc do swojej roboty. Kiedy ja prowadziłam swoich więźniów tą samą drogą, wyglądali zupełnie inaczej - zaznacza z dumą Władysława K.

Obóz zapewniał jedzenie na miejscu i wkrótce jakieś pie-niądze. To było dużo. Władysława K. nie zastanawiała się dłu-go, mąż zginął, miała dwoje małych dzieci, na rodzinę nie mo-gła liczyć. Musiała sama troszczyć się o siebie.

Przyjmował naczelnik Mordasow. Mordasow pił, a kiedy pił, trzeba go było rozbrajać, lubił strzelać. Zapytał kandydatkę na blokową, czemu chce pracować właśnie tutaj. Przecież wy-ciągnął podanie, jej mąż zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu?

Życ trzeba - odpowiedziała Władysława K. przyjrzał się jej, dwadzieścia dwa lata, silna, niebrzydka. Wystawił przepustkę.

Już po kilku dniach ściągnął ją z dyżuru, próbował zgwał-cić. - Co tam za ludzie byli, co za ludzie, kiwa głową Władysława K. - Wojna zrobiła z Mordasowa drania i potwora. Po-wiedziała, że nie przepuszczę, bo na drugi raz mnie zabije. Kiedy się wyrwała, strzelał za nią i cudem uszła z życiem. Wsiadła na rower i tak jak stała pojechała do chrzanowskiego UB. „zdać” Mordasowa.

Sześć tygodni trwało, zanim mogła wrócić do obozu. Mor-dasowa już nie było. Nowym naczelnikiem został Salomon Morel.

Więźniów ciągle przybywało. - Już cały obóz był nimi za-tkany wspomina blokowa - nie było ich gdzie upchać, a wciąż i wciąż nasyłano nowych. Kilkanaście baraków pękało w szwach. Całe rodziny spały na jednej pryczy, a i tak ciągle trzeba było przyjmować nowych.

Po przywoźce na placu zaczynał się płacz i krzyki, tego Władysława K. nie lubiła. Rozdzielano mężczyzn od kobiet i dzieci. Mężczyźni szli osobno, kobiety z dziećmi do jej bloku. - A jakże inaczej - mówi jednak z westchnieniem, przecież tak musiało być. Jeszcze ich dzieliły wewnętrzne druty pod wyso-kim napięciem. Bo by się chcieli zaraz spotykać, połączyć. A to był obóz i musiał być porządek. Naczelnik tylko biega

kowi czasem się z nimi bawić, jak na zdrowe wyglądały. Zawsze im coś z domu wyniósł lepszego. One wiedziały, gdzie nie wolno ganiać, że do drutów nie wolno się zbliżać...

- Ile pani zarabiała?

- Na początek trzysta złotych, jedzenie i mieszkanie, czyli pokój na terenie obozu, więźniarki do pomocy w domu i przy dzieciach. Do dzieci miałam Klarę z Szopienic, bardzo czysta i gospodarna.

Dla Władysławy K. zaczęły się dobre lata. Naczelnik Morel dbał o kadrę, funkcjonariuszom bardzo się poprawiło.

- Nie skłamię, jeżeli powiem, że żyło mi się jak w raju. Niemki były usłużne. Dzieci przepadały za Klarą, chowała mi dwójkę. Pracowita kobieta. Nauczyła mnie gotować. Te starszuszki Niemki to wprost umiały wszystko, z byle czego zrobić.

Kiedy po paru latach wypuszczano Niemki, synek Władysławy K. rzucił się do Klary i nie dał się oderwać. Ale ona go tak obojętnie odsunęła, poszła i nawet się nie odwróciła. Władysława K. prosiła, żeby kiedyś napisała list, parę słów, ale Klara nigdy się nie odezwała.

Władysława K. nigdy o życie Klary nie pytała, nie próbowała się niczego dowiedzieć, w obozie nie było na to czasu.

Nie byłam zadowolona, kiedy zabierano moich Niemców. Przyzwyczaił się człowiek. Ale trudno, załadowali ich, pojechali, bo ja wiem gdzie, pewnie gdzieś na Ziemię Odzyskaną. Który to był rok? 49? Może 50?

- Pani drugi mąż też pracował w obozie?

- Przeżył Oświęcim i zgłosił się tutaj, jakoś go ciągnęło do obozu. Znał życie obozowe. Mówił do więźniów - jeszcze narzekacie? Żle wam? Nie wiecie, co to prawdziwy obóz, wasz Hitler to dopiero umiał obozy urządzać! Tam by was posłać, tam by was roboty nauczyli! I zaraz był spokój. Umiał z więźniami rozmawiać.

Kiedy wypuszczano Niemców, Władysława K. bała się, że zlikwidują więzienie. Co teraz, myślała chodząc po pustych placach, gdzie teraz roboty szukać?

W barakach zostawiono część mężczyzn, ale kobiety wszystkie wypuszczono.

I kogo nam nasłali! Boże! Samych najczarniejszych bandytów! Jak wściekle psy! Kobiety tam też były, ale wcale nie lepsze. Aż mnie odrzuciło od nich, takie to było dzikie.

- Powiedziano wam, kim są nowi więźniowie?

- Wiadomo było, że to są bandyci z lasów, UP-owcy. Sami Ukraińcy. No i zaczął się sądny dzień. Od tego dnia. wspomina Władysława K., strach było ruszyć się bez dodatkowej obstawy. Strażnicy nie mieli już życia. Żal im było pokornych Niemców, którzy rękę na strażnika nie ośmieliliby się podnieść. A tamci? - Czysta. wściekła nienawiść – wzdyga się blokowa. - Do baraków wchodziło się jak do klatki, z batem i pistoletem.

- Było ich kilka tysięcy, w tym parę setek kobiet. - Tam w pojedynkę nie było po co iść. Do mężczyzn żaden w pojedynkę nie wszedł, to było jasne. Ale zdarzyło się kiedyś, że do kobiet w łaźni weszła sama blokowa. Strażnicy wyciągnęli ją nieprzytomną, o mało ją nie rozszarpały. Gołymi rękami darły, tłukły, zupełnie dzikie. Wszystkie miały czarne włosy po pas. Jak popatrzyły na człowieka - zimno się robiło. Bałam się. Trzęsły mi się kolana, jak miałam do nich pójść. A nie jestem z tych. co się boją. Kiedyś wszedł do nich strażnik, sam, z zupą. O mało go nie udusiły.

Tego okresu w obozowym życiu Władysławie K. nie chce się nawet wspominać. Ukraińców nigdy nie było jej żal. Zasłużyli, to siedzieli. Nienawidzili strażników tak, że bardziej nie można. Uważali, że siedzą niewinnie, a podniebienia mieli czarne jak złe psy. Już ona tam nie wierzyła, że niewinnie. I za co tak Polaków chcieli „riezać”? Czy Polak zdolny jest do okrucieństwa? Ona ręczy, że nie.

- W obozie panował strach, ich strach i nasz. Czy to się nigdy nie skończy, mówiłam do męża, czy nie można coś z nimi zrobić?

W końcu wywieźli Ukraińców, nie wiadomo gdzie. Władysława K. nie miała nawet czasu się ucieszyć, bo wyszło na jaw, że niedługo praca dla niej w obozie się skończy. Mówiono, że w Jaworznie powstanie nowe, eksperymentalne więzienie, dla samych młodych więźniów. Rzeczywiście, zaczęły nadchodzić transporty, szybciej, niż się tego spodziewano. Przyjechała również nowa kadra, w większości byli to młodzi oficerowie.

W 1951 roku blokowa straciła pracę. W obozie nie było już miejsca dla kobiet, wszystkie stanowiska objęli mężczyźni.

- Zaproponowano mi pracę w milicji w Katowicach. Odmówiłam, bo nie chciałam dojeżdżać. Powiedzieli, że mogę dostać warsztat krawiecki w Mysłowicach. Wydawało mi się to za daleko i poszłam do Fabryki Bieli Cynkowej, tutaj, w Jaworznie. Dzisiaj żałuję. Miałabym lepiej w milicji. W obozie został mąż Władysława K. Pracował w warsztatach, dobrze mu się wiodło, z pracy był zadowolony. Aż tu nagle przychodzi z wiadomością, że w więzieniu bunt. Była wiosna 1955 roku. Więźniowie rzucali się na druty, przecinali je. Bili strażników. Przyjechało wojsko i wkrótce obóz zlikwidowano.

Mąż to płakał jak zwijano więzienie. Przyzwyczaił się. Mówił, jak ja będę żył bez obozu. Powiedziałam, obeszłam się ja, obejdiesz się i ty.

Został dyspozytorem dźwigów. Władysława K. mówi, że właściwie jest zadowolona z życia. - Dobrze wykonywałam swoje obowiązki. A to jest najważniejsze. Zbiera rozłożone na stole dokumenty, zaświadczenia, świstki. Odznaczenia za dobrą pracę w służbie bezpieczeństwa. Podziękowania. Wszystko mieści się w woreczku, który Władysława K. waży w dłoni. Nie wiem, ciąży jej. czy też jest zbyt lekki. Ale nie o tym myślała... Jak mąż żył. nie starałam się. Ale teraz, czy to wystarczy. żeby przyjęli do ZBoWiD-u?

Przewodniczący
Wojewódzkiej Rady Narodowej
Komisja Kwalifikacyjno-Kontrolna
w Katowicach

Katowice, dnia 6. LISTOPADA 1945r.

Zaświadczenie nr 62710 *

Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, Komisja Kwalifikacyjno-Kontrolna, zaświadcza, że

On MARUSZCZYK Anna
urodzony dnia 29.4.1931r. w miejscowości _____
powiat Lienpark województwa śląsko-dąbrowskie zamieszkały
Orzyszek pow. Opole wojew. śląsko-dąb. został zwolniony
z Obowiązku Pracy jeńców wojennych w Jaworznie i udaje się
do Orzyszek pow. Opole wojew. śląsko-dąbrowskie

Wyszej wymieniony po przybyciu do miejsca zamieszkania zgłosił zamieszkać się w ciągu 30 dni w tamtejszym Urzędzie Bezpieczeństwa

Przewodniczący
Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa
Publicznego

Zgodnie z Przewodniczący
Wojewódzkiej Rady Narodowej
Komisja Kwalifikacyjno-Kontrolna

Zaświadczenie jakie otrzymała „jeniec wojenny” – czternastolenna dziewczynka, Anna Maruszczyk (obecnie Piątek), gdy zwalniano ją z Jaworzna, po rocznym pobycie za jego drutami. Tak Polska Ludowa witała Polaków ze Śląska Opolskiego, tych, którzy śnili o ojczyźnie swoich przodków. Hakata i dziesiątki lat germanizacji nie zdołały ich wynarodowić, Polska Ludowa zrobiła to w ciągu roku!

Jaworzno było niczym – wobec obozu w Łambinowicach, którego komendantem był Czesław Gemborski. Jego „prawa ręka” „pan Ignac”, wypowiada się: „jak pędzili Niemców do obozu, zaczęli oni śpiewać „Pod Twoją obronę”, ale my nie daliśmy się na to nabrać...”

„ŚWINIE" I „ZDRAJCY" „Kopalnie żądały rąk do pracy..."

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, r 14/92 r.)

Jeśli koniecznie chce pani wiedzieć, kto tam siedział, to niech pani pisze, świnie i zdrajcy! Pisać jak mówię. – Przewodniczący jaworznickiego oddziału ZBoWiD-u krzyczy na cały głos. Panuje tutaj wojskowa dyscyplina i kult hierarchii. Wszyscy boją się pana Ch. Jeden z kombatanatów daje mi leciutki znak, że porozmawia ze mną później, w kącie.

W jakim celu chce pani pisać, że Polacy pracowali w jakichś obozach?

Jako Polak, zabraniam pani! Ani słowa na ten temat - unosi się dalej pan Ch. Gdyby tak mógł odebrać mi jakiś dodatek albo zniżkę... Ale nie może, więc wychodzi trzaskając drzwiami.

Dowiem się później, że pan Ch. procesował się z kimś, kto należał do AK - i siedział w Jaworznie, a chciał także przystąpić do ZBoWiD-u. Było to w latach sześćdziesiątych. Pan Ch. do tego nie dopuścił, podobno używał słów bardzo nie przystojnych, obrzucił kandydata błotem, lecz kto kogo podał do sądu, już nie wiadomo. Nie wiem, dlaczego tamtemu tak zależało na przyjęciu. Pewno chodziło o ulgi - domyśla się mój rozmówca, który przedtem dawał mi znaki, tak jak mnie, ja też należałem do AK i dlatego muszę tutaj cicho siedzieć.

Nie podam nawet swojego nazwiska. Życie mi się nie nażyło, mniejsza z tym. Tamten musiał być porządnie zdesperowany, przecież tutaj należą byli strażnicy z tamtego obozu, ciekawe jakby się czuł ciągle ich widząc i do tego to oni znowu mieliby wszystkie funkcje. Teraz strażnicy już się nie udzielają, a jak im pan Ch. zabroni rozmawiać, to nic nie powiedzą. Ciemna mogiła.

A ja? Co ja wiem? Pamiętam ich. Wychodzili z więźniarek. Sami młodzi chłopcy, bardzo młodzi, chudzi, obcięci na zero.

Serce pękało patrzeć. Ręce na kark kazano im położyć i do obozu. Boże, ilu tam ich szło. Nie wiedzieli, gdzie idą. Pytali oczami, gdzie się ich prowadzi. Ludzie jakieś dobre znaki im dawali, tyle mogli. Wciąż ich na dworzec przywożono. Ja nigdy w obozie nie szukałem pracy to nic więcej nie wiem. Ale zaraz przyjdą tacy panowie, jeden to dyrektor kopalni, brał ich z obozu na dół, to coś może wiedzieć. Drugi był w obozie intendentem. Tylko proszę nie mówić, że to ja powiedziałem. Tak sobie rozmawiamy... To do widzenia.

Właśnie wchodzi panowie, o których chodzi. Nie ukrywają zaskoczenia, kiedy wyjawiam cel rozmowy.

Pani wyobraża sobie, że po tylu latach będziemy cokolwiek pamiętać? - Dziwią się. Nie wyglądają jednak na starszków. Przeciwnie, są energiczni w dobrej kondycji. To dobrze, najwyższej króciutka rozmowa. Zaczyna były dyrektor. Powie jak było naprawdę, otóż więźniowie bardzo lubili pracę pod ziemią. Po prostu nudzili się w obozie. A tak mogli sobie zarobić i na papierosy: Pracowali najwyższej siedem godzin. „Komuna Paryska” była z nich bardzo zadowolona, dzięki więźniom mogła nadgonić plan. Pan O. jest siwy jak gołąbek, oczy ma jasne, niebieskie, kiedy mówi, nawet mu nie drgnie powieka.

Drugi pan, Wacław K. Przyznaje, że był kierownikiem gospodarczym w Jaworznie w stopniu porucznika. Ale więźniów w ogóle nie widział na oczy. Patrzył tylko w kocioł, ile i dla kogo. Utkwiło mu jednak w pamięci, że jedzenie było dobre. Nie wie nawet, ilu tam było więźniów.

To prawda, że kiedy szykował porcje, musiał wiedzieć, ale teraz zapomniał. Sam tak nie jadałem, jak oni. Myśmy mieli pod tym względem gorzej od nich. Tak było. Tak właśnie było.

Milczenie. Drzwi uchyla pan Ch. Wzywa do siebie obu panów, są natychmiast potrzebni w pilnej sprawie. Nikt więcej w jaworznickim ZBoWiD-zie nie chce ze mną rozmawiać.

To oczywiste - mówi ktoś wychodząc za mną na ulicę - to jest organizacja zmilitaryzowana. Rządzi, wie pani kto. A jego brat, podobno, kręcił się przy obozie. Miał tam jakąś fuchę. Tutaj niczego się pani o tamtym miejscu nie dowie...

Zrobiono niemal wszystko, by po obozie w Jaworznie, ulokowanym w poniemieckim obozie koncentracyjnym, nie pozostał żaden ślad w dokumentacji.

Można liczyć tylko na świadectwa, przypadkowo zachowane wśród materiałów dotyczących innych wydarzeń i innych miejsc. Na szczęście uszły one uwagi nieznany likwidatorom.

Dokumenty „Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie” w Archiwum Państwowym w Katowicach oznaczone są w katalogu sygnaturami od 4821 do 4828. Powinny znajdować się w Świętochłowickiej filii Archiwum, gdzie odkłada się materiały źródłowe rzadko wykorzystywane. Niestety, ze Świętochłowic akta zniknęły. Archiwistki długo szukają wymienionych numerów, w końcu wracają z pustymi rękami. Na półkach brak odpowiednich teczek. Nikt jednak nie zostawił adnotacji, kto i kiedy zabrał archiwa Jaworzna. Brak również takich uwag w inwentarzu, widocznie ktoś, kto mógł sobie na to pozwolić, zabrał tomy dokumentów nie pozostawiając śladów.

Być może archiwa zaginęły w czasie, gdy likwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Może zaginęły później, w 1970 r. ale z pewnością stało się to tak dawno, że dzisiejsze kierownictwo Archiwum tego nie pamięta. Straty w ogóle nie zauważono. Natomiast w archiwach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, Wydziału Społeczno – Politycznego, zachowała się wzmianka o powstaniu Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. Podstawą jego założenia stała się Uchwała Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1945 roku w sprawie wydobycia węgla i udzielenia natychmiastowej pomocy przemysłowi węglowemu.

Czytamy w niej: „Rada Ministrów stwierdza, że stan wydobycia węgla w kopalniach Śląsko - Dąbrowskich i Krakowskich nie pokrywa potrzeb przemysłu i transportu kolejowego obsługującego front. Celem zapewnienia szybkiego wzrostu wydobycia węgla w Polskim Zagłębiu Węglowym, zwiększenia wydajności pracy i udzielenie pomocy technicznej przemysłowi węglowemu. Rada Ministrów postanowiła, co następuje:

Minister Bezpieczeństwa Publicznego ob. Radkiewicz i wojewoda Śląsko-Dąbrowski ob. gen. dyw. Zawadzki winni

w przeciągu miesiąca kwietnia br. przekazać do dyspozycji Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego 10 tys. ludzi przymusowo zatrudnionych Niemców i volksdeutscheów.

Celem skutecznej i szybkiej realizacji dostaw kopalnianych dla Przemysłu Węglowego winni: - Minister Bezpieczeństwa Publicznego ob. Radkiewicz, skierować w miesiącu kwietniu br. do dyspozycji Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych - 2500 ludzi spośród przymusowo pracujących Niemców - volksdeutscheów do robót związanych z przygotowaniem drewna kopalnianego”.

Wśród dokumentów Wydziału Społeczno - Politycznego znajduje się również złowrogi „okólnik nr 24” który przesądził los wielu tysięcy Ślązaków. Wydał go 16 kwietnia nieznany bliżej inż. Topolski, polecając w nim: „Dla Niemców i volksdeutscheów, którzy będą skierowani do pracy w kopalniach, należy zawczasu przygotować pomieszczenia w strzeżonych barakach względnie obozach...”

O skierowaniu do obozów pracy przymusowej decydował wówczas na Śląsku specjalny sąd karny, od którego decyzji nie było odwołania. Tego rodzaju sąd posługiwał się dekretem wydanym przez PKWN 15 listopada 1944 roku. Artykuł I tego dekretu głosił: „Obywatel polski, który w czasie okupacji niemieckiej na terytorium Generalnej Guberni i Województwa Białostockiego bądź zadeklarował swoją przynależność do narodowości niemieckiej, bądź korzystał z praw i przywilejów z tytułu przynależności do narodowości niemieckiej, podlega niezależnie od odpowiedzialności karnej przetrzymaniu i umieszczeniu na czas nieoznaczony w miejscu odosobnienia (obozie) i poddany przymusowej pracy.”

Sądy, które decydowały o tym, kto ma znaleźć się w obozie „na czas nieoznaczony” nie prowadziły śledztwa. Chociaż starano się utrzymać fikcję procedury sądowej. Dochodzenie prowadził resort bezpieczeństwa publicznego. Akt oskarżenia przygotowywany przez prokuratora nie wymagał uzasadnienia, musiał natomiast być wniesiony w 14 dni od ujęcia oskarżonego. Specjalny sąd karny w ciągu 48 godzin od wniesienia aktu oskarżenia wyznaczał termin rozprawy. Nie dopuszczano

żadnych uwag ani sprzeciwów wobec prokuratorskich zarzutów.

Według dekretu z dnia 15 listopada 1944 roku w obozach mogli się znaleźć wszyscy Ślązacy bez względu na wiek i płeć.

Fabrykowano tylu „zdrajców”, ilu potrzebowało MBP oraz, przede wszystkim, wszechwładny Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego. A kopalnie żądały coraz więcej rąk do pracy, nie gardzono żadną, nawet najslabszą.

Pierwszą znaną umowę o pracy przymusowo zatrudnionych podpisano 16 maja 1945 roku. jej część wstępna brzmiała:

„Umowa zawarta pomiędzy Centralnym Zarządem Przemysłu Węglowego w Katowicach, a Centralnym Obozem Pracy w Jaworznie, działającym w imieniu Departamentu Więziennictwa i Obozów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, reprezentowanym przez porucznika Aleksandra Augustynowicza i porucznika Włodzimierza Staniszewskiego, w sprawie ustalenia warunków, na jakich przemysł węglowy zatrudniać będzie więźniów”.

Treść określała zakres obowiązków więźniów, a także minimalnych praw, rozstrzygała również sprawę pracy kobiet: „w kopalniach, 3% pracowników dołowych mogą stanowić kobiety”.

Następną umowę zawarto 27 sierpnia 1945 roku, w której: „Centralny Obóz Pracy zobowiązuje się do dostarczenia siły roboczej w kopalniach w ilości 10 000 Niemców (wg ówczesnej pisowni) i volksdeutscheów, która to cyfra będzie w miarę napływu systematycznie realizowana. Więźniów odbierać będzie Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego z obozów macierzystych wskazanych przez Centralny Obóz Pracy w ilości według zapotrzebowania poszczególnych kopalni należących do CZPW.”

Dzisiaj jedynym śladem po Jaworznie z pierwszych lat powojennych w archiwach Centralnego Zarządu Zakładów Karnych jest potężna księga zmarłych. Prawdopodobnie księga miała kilka odpisów, nie wiadomo już, przez kogo przygotowanych. A może w dokumentach Centralnego Zarządu Zakładów Karnych znalazła się ta sama lista, o której mówił jeden

z więźniów politycznych Jaworzna, inżynier Zbigniew Pawłowski?

„Pracowałem w 1953 roku dość krótko jako salowy w izbie chorych. Izba znajdowała się w ponemieckim baraku. Otóż tam, znalazłem ukryte w piwnicy księgi, całe wielotysięczne rejestry. Nazwiska nie brzmiące polsko. Oznaczone były krzyżkami z datami zgonu. Były to lata 1945 - 1950. Zawiadomiłem natychmiast felczera. - Felczer wyglądał na przejętego, obejrzał dokładnie listy i zakazał komukolwiek o tym mówić. Żadnym przełożonym, nikomu. Po raz pierwszy mówię o tym.

Felczer powiedział mi, niech tam spoczywają, gdzie je znalazłeś. Może kiedyś ktoś wyświecili, kim byli ci ludzie, z jakiego powodu umierali. I zostawiliśmy księgi w piwnicy, nigdy już nie wracając do tego tematu. Tylko ja nie mogłem zapomnieć. Co ci ludzie przeżywali w tym miejscu, gdzie i my traciliśmy zdrowie i młodość?”

A może Zbigniew Pawłowski odnalazł zupełnie inne księgi, tego już nie da dzisiaj wyjaśnić. Z zachowanego rejestru w obozie „Jaworzno” w 1945 roku zmarło 5.100 osób. Był to rok najbardziej obfity w zgony. Ilość więźniów wciąż nie zaspokajała potrzeb przemysłu wydobywczego. Armia Czerwona przyszła z pomocą, widząc, że śląskimi rodzinami, w których pozostały głównie kobiety i dzieci, przemysł węglowy nie wykona planu. Zawarto następną umowę: „Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego w osobie zastępcy Dyrektora, inż. Biernckiego z jednej strony i przedstawiciela Dowództwa Czerwonej Armii w osobie generała lejtnanta Miłowskiego z drugiej strony, zawarli umowę o treści następującej”:

„Przedstawiciel Dowództwa Czerwonej Armii, generał - lejtnant Miłowski przekazuje CZPW dla robót w kopalniach Zagłębia Śląsko - Dąbrowskiego 5252 zmobilizowanych Niemców, nadających się do fizycznej pracy.”

W 1946 roku w obozie pracy „Jaworzno” zanotowano 1000 zgonów. Coraz częściej rozchodziły się jednak alarmujące wieści o warunkach panujących w obozach pracy. Mówiono o masowych grobach, epidemiach, krwawych odwetach. Dopiero w drugiej połowie 1946 roku rozpatrzono bardzo oględnie kwestie prawne zatrudnienia więźniów i jeńców wojennych.

22 sierpnia 1946 roku Centralny Zarząd Przemysłu węglowego wystosował pismo do Prezesa Rady Ministrów, (przez Ministerstwo Przemysłu) oznakowane numerem wychodzącym BM/SK/yII/ /13581/-46. w którym ogólnikowo stara się uzasadnić konieczność wykorzystania w kopalniach pracy „jeńców wojennych” i więźniów, w tym kobiety. Naciąga w tym celu paragrafy Kodeksu Karnego, posługując się dowolnie pojęciem „praca odpowiednia”.

Być może Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego zdobył się na reakcję pod wpływem Komisji Kwalifikacyjno – Kontrolnej, utworzonej 11 stycznia 1946 roku, dla zbadania warunków panujących w obozach pracy.

Sądząc po składzie Komisji, jej ocena nie mogła być zbyt bolesna dla Departamentu Więziennictwa i Ministerstwa Przemysłu. Warunki pracy i życia więźniów w Jaworznie oceniali: Delegat Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego – Franciszek Planczewski, delegat Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Wacław Kazimierski, delegat Wojewódzkiego Wydziału Społeczno-Politycznego - Stefan Wiczorek, delegat Wojewódzkiej Rady Narodowej - Stefan Jabłoński, oraz przedstawiciele Sądownictwa i Prokuratury.

W 1947 roku w Jaworznie zmarło blisko 900 osób. Wpływ Komisji na poprawę warunków przetrzymywania więźniów nie okazał się decydująco korzystny. Ogółem w jaworznickim obozie, mogącym pomieścić około dwóch tysięcy osób, w latach 1945 - 1947 umarło około 7 tysięcy ludzi!



**Mirek Kryszczyński przy magnetofonie własnej konstrukcji.
Zdjęcie wykonał „Papa Brzozowski” w 53 roku.**

Mirek wykonał nie tylko magnetofon, ale również „produkował do niego taśmy ... z papierowych taśm do telegrafu Morse’a, przynoszonych z PKP. Recepturę nośnika (tlenki żelaza + lakier nitro) opracował i wykonywał Janek Kapuściński – chemik. Sam pomysł wykonania taśmy na podłożu papierowym był Bogusława Pyki. (Taśmy magnetofonowe nie były w tym okresie w ogóle osiągalne na rynku.)

HEKTARY MORELA

„Żądam, aby o tym w ogóle nie pisać.”

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 16/92 r.)

Po opublikowaniu reportażu o blokowej, do redakcji „Tak i Nie” przyszedł list:

„Obóz w Jaworznie należał do obozów ciężkich, kto wie, ilu wykończono tam więźniów, w tym również i dzieci? Na własne oczy widziałem, jak zwalniali z obozu niektórych więźniów, opuchnięci, ledwo się poruszali, trzeba ich było na ciężarówkę wrzucać. I to wszystko na oczach ludności cywilnej. Mógłbym podać jeszcze wiele faktów, co widziałem na własne oczy. Nocami były wywożone na cmentarz dzieci zmarłe na tyfus i czerwone. O nas, tych co mieli „trójkę”, i ojcowie nie wrócili z wojny nikt się nie troszczył. Nawet Ziętek nie kiwnął palcem. A dziadkowie nasi byli Powstańcami Śląskimi. Niech się nam nie wydaje, że Polacy to same niewiniątka.” Nikt się nie podpisał...

Inny list: „Jak żywy widzę oczyma wyobraźni obraz z któregoś słonecznej niedzieli 1947 roku. gdy z paczką żywnościową dla mojej matki stałem pod bramą obozu w Jaworznie. Słysząc było koncert muzyki kameralnej orkiestra w pasiakach przygrywała funkcjonariuszom spożywającym obiad na zadaszonym tarasie.

Kolejne paczki żywnościowe dostarczałem już do Libiąża, gdzie utworzono obóz wyłącznie kobiecy, przy kopalni „Janina”. Bez winy i kary zwolniono matkę z końcem 1948 roku.”

Warunki we wszystkich więzieniach, obozach były podobne. Stanisław N. z Mysłowic pisze o sosnowieckim więzieniu „Radocha”:

„Od początku 1945 roku więziono tam w przeważającej liczbie ludność śląską. Byłem tam więziony jako jeden z pierwszych (miałem 20 lat). Pracując na zewnątrz widziałem jak w marcu i kwietniu 1945 roku prowadzono w kierunku do

i od Katowic kilkuset osobowe kolumny ludzi Było bardzo dużo kobiet, starszych mężczyzn, dzieci i ludzi kalekich. Ludzie ci już przeszli „magiel” Urzędu Bezpieczeństwa i jak mówiono, udają się na „wczasy”. Prowadzono ich do więzienia „Radocha” w Sosnowcu.

Jednorazowo w więzieniu „Radocha” przebywało ponad 1500 osób. W celach spano pokotem na siennikach słomianych rozłożonych na „impregnowanej” lizolem podłodze. Zimą woda za-marzała w wiadrze. Głód był przyczyną dużej śmiertelności, pośrednio, puchlina głodowa nóg oraz epidemie „czerwonki” przenoszonej przez insekty. O życie więzionych zmagął się więzień doktor Fink z Małej Dąbrówki (po zwolnieniu pracował jeszcze szereg lat w Dąbrówce), jednak z małym skutkiem. Śmiertelność według mego szacunku osiągnęła w 1945 roku - 1500 osób.

Wózek - platformę zaprzęgnięty koń woził dwa razy dziennie po siedem trumien (rano i wieczorem). Wiosną 1946 roku naliczyłem około 24 dzieci więźniów. Najstarszy w grupie 16-letni Erwin O. Z Szopienic wyznał mi w zaufaniu, że jest więziony za zamiar „wysadzenia w powietrze mostu kolejowego”. Od czasu do czasu wzywano tego lub owego na rozprawę sądową, przy czym wyroki sądowe zapadały od 5 do 15 lat, a nawet kary śmierci. Ustawiono szubienicę, jednego z oddziałowych wysłano na kurs „mistrzowski” i wykonywał wyroki.

Udrękę więzionych przerwała komisja przybyła do więzienia późną wiosną 1946 roku. Weryfikowano wszystkie osoby więzione i większość w następnych miesiącach zwolniono. Przybywali kolejni.”

Jaworzno, ulica Wiejska na Niedzieliskach. Najstarsza tej dzielnicy a tutaj najstarszy dom. zapadnięty w ziemię drewniak. Chwasty zaglądają w okna. - Każdy to widział i każdy może powiedzieć. Żył się przy obozie, w czasie wojny było tu strasznie.

Właścicielka domu. pani Kubinowa, wspomina niechętnie i może tylko dlatego, że sąsiadka wpadła na herbatę. Całe jej życie, jak popatrzyć wstecz, upłynęło w tym domu, za jego mętnymi szybami. Nie ma co wspominać i po co ust otwierać.

Po wojnie też nie było lepiej. Miałam ciotkę, porządna kobieta, ale głupia. Wymyśliła, że podpisze listę i jej synek będzie pomarańcze jadł. Mówię wprost - ciotka, czyś ty zwariowała? Jakoś się przecież żyje. Po co się będziesz zapierać? Ale ona jakby na oczy nie widziała, na uszy nie słyszała, nic, tylko że podpisze. Podpisała. No dobrze, nie dała rady wytrzymać. Co z tego miała? Trochę mój kuzyn zjadł tych bananów, czekolady, dla nas wtedy to były rzeczy całkiem niedostępne. Prawda, że volksdojcz lubili na oknach powystawiać różne słodczyce, owoce, kielbasy, tak że inne dzieci pytały, czemu ich rodzice też się nie zapiszą. Z czasem volksdojcz nabierali coraz większego mniemania, i jak ktoś po pysku bił Polaka - to prędzej volksdojcz niż Niemiec, bo Niemiec albo nie raczył zauważyć, albo wyciągał broń.

Zaraz jednak był koniec wojny. Wzięli ich do obozu wiosną, całą rodziną, kuzyn miał 15 lat. Latałam codziennie pod obóz. Chciałam podać chleba albo coś innego. W czasie wojny podejść tam było niemożliwe, ale teraz w końcu była Polska, to się tak nie bałam. Stał tam milicjant z białą-czerwoną opaską, zobaczył mnie, ściąga karabin i „paszoł won!” krzyczy. A ja, co za „won”, co za „won”, to tak jak za Niemca nie można chleba podać? Poszła won, bo zabiję - powiedział i mierzy karabinem, uciekłam. Drugi raz, widzę, prowadzą z cegielni mojego kuzyna. Ledwo mogłam go poznać. Strupy na całym ciele, siny, w okropnym stanie. Nie może iść. Inni go ciągną, też nie dają rady. Rzucam się do niego w pierwszym odruchu, przybiega milicjant, też pamiętam z opaską, bo człowiek się cieszył na te opaski, a potem się okazało, co za ludzie je nałożyli. No więc przybiega milicjant, wrzeszczy jakby złoto konwojował, a nie grupę wycieńczonych smarkaczy, celuje karabinem, tak że tylko mój kuzyn ręką mi pokiwał, pokazał na usta, że głodny i musiałam odstąpić, nie dali nawet kawałek odprowadzić. Już wiedziałam, że przy tym obozie zawsze już won i won będzie, to takie przeklęte miejsce.

Kiedy ciotkę po paru latach, a może po dwóch, może więcej, wypuścili, nie miała dokąd wracać. Wujek nie żył, dom zajęto. Przemieszkowała u ludzi, a mój kuzyn zaraz po wypuszczeniu z obozu zmarł na ogólne wycieńczenie.

Tak, zawinili, podpisali, - odzywa się po chwili sąsiadka - ale człowiek był już tak zmęczony okrucieństwem, wojną. Byli tacy, co volksdojczom nie mogli zapomnieć, ale inni, większość, pogodziła się z nimi i zapomniała.

Teraz już z trudem mogłabym powiedzieć, kto z tej ulicy podpisał, a kto nie. Nie jest mi to do niczego potrzebne.

Dzisiaj na Niedzieliskach o obozie mówi się mało. Nie tylko dlatego, że do prawdy o „COP Jaworzno” dopuszczeni byli nieliczni, ale także i z tego powodu, że niektórzy dobrze żyli „przy obozie”. Nie chcą do tego wracać.

Utworzony wolą Niemców „SS-lager Dachsrube” wdarł się w jaworznicki krajobraz, jakby tam miał pozostać na zawsze. Z każdym rokiem nowy twór udoskonalano, trwała wieczna rozbudowa, ciężarówki wciąż dowoziły piasek i wapno. Jakby miało tam powstać miejsce dla ludzi...

Całe Jaworzno składa się z odrębnych dzielnic, nie powiązanych ze sobą osiedli i osad. Czasami oddzielone są od siebie kilometrami nieodrobzonej drogi, różnią się wyglądem i zastrudnieniem mieszkańców, kształtem domów, klimatem ulic. Każdy kawałek Jaworzna żyje swoim własnym życiem.

„COP Jaworzno” egzystował w mieście na podobnych zasadach, stało się jakby nowym osiedlem, do którego praw nikt się nie wtrąca. - Dlatego mogło żyć długo przy ruchliwej drodze, otoczone drutami pod wysokim napięciem, pilnowane przez strażników z psami. Miało swoich mieszkańców, swoje władze i własne plany.

Część mieszkańców Niedzielisk i Osiedla Stałego przyjęło wyrosły wśród nich obóz jako nowy element życia, z którym należało się pogodzić. Nowy twór uwierał, to prawda. Łatwiej jednak było się z nim pogodzić, wiedząc, że ci, którzy w nim siedzą, nie należą do „swoich”. Jest pewna cena takiej zgody. - Tam siedzieli esesmani, dostali za swoje - słyszałam często. Potem UP-owcy, należało się im. Bandyci z lasów, reakcja, gdzieś to było trzeba trzymać, żeby nie było wojny domowej... Po prostu „inni” dostawali „za swoje”.

Akcja „Wisła” zaczęła się w marcu 1947 roku, miała zakończyć „kwestię ukraińską” i spowodować przesiedlenie ludności ukraińskiej z jej rodzimych terenów. Były to jak wia-

domo, stalinowskie metody exodusu całych grup jednolitych etnicznie, dla zerwania więzi narodowych. Z dnia na dzień tysiące ludzi wyrzuconych zostało ze swych rodzinnych domów, o sadzano ich w różnych obozach przejściowych. Jednym z takich obozów było Jaworzno, które przetrwało w pamięci Ukraińców jako rodzaj obozu koncentracyjnego o zaostrzonym reżimie. Pozbawieni byli tutaj wszelkich praw, a metody, jakie stosowano dla utrzymania porządku, nie odbiegały wiele od metod hitlerowskich. Tak zapamiętali Jaworzno.

W 1957 roku Andrzej Mularczyk zbierał materiał do reportażu o jednym z milicjantów biorących udział w tej akcji. Milicjant mieszka w Bieszczadach, nie zamierza wyjechać, tłumacząc swoją decyzję w ten sposób:

„Zostałem tu, bo tylko ja mogę rozpoznać wśród tych Ukraińców, tych, którzy chcą tu wrócić, dawnych członków band... Wielu z nich odsiedziało swoje w Jaworznie, potem wróciło.”

W Jaworznie, gdzie pilnowały ludzi druty pod napięciem, „postenkiety” i ludzie z karabinami, siedziało się bez sądu i bez żadnego oznaczenia końca kary.

Akcja „W” zrównała ludność ukraińską z UP-owcami, których rozmiaru winy nie badał i nie ważył żaden sąd.

„Odsiedzieć swoje w Jaworznie” oznaczało przetrwać obóz koncentracyjny. Ponad czterdzieści lat później Ukraińcy pisali do Sejmu: „Jest już czas, aby parlament osądził wydarzenia roku 1947 w Bieszczadach. Powstanie UPA spotkało się z kontrakcją militarną wojsk polskich. Ukraińska partyzantka została utożsamiona z faszystowskimi bandami”.

Walczyć trzeba było tutaj z całą ziemią, lasem, notował Andrzej Mularczyk w reportażu „Przychodzą, sam nie wiem z której strony”. Każdy piec mógł być wejściem bunkra, każdy piejący kogut mógł być sygnalistą. Akcja „W” miała zlikwidować ostatecznie tę wojnę w drugim roku pokoju - opowiada bohater reportażu, „dawne osady stawały się tylko nazwą na mapach sztabowych.”

Lament pędzonych do pociągu ludzi był satysfakcją po ich poprzednim, zaciętym milczeniu...

„Przesiedleńców z akcji „W” potraktowano jednakowo, bez względu na to, czy mieli powiązania z UPA czy nie. Zostali

potępieni, zgodnie z zasadą odpowiedzialności zbiorowej” - stwierdzali Ukraińcy w memoriale do Sejmu.

Wiadomo, że nigdy nie zapomną obozu przejściowego pod Łuszczynami, utworzonego dla przesiedleńców, gdzie ogrodzono ich drutem kolczastym i gdzie codziennie umierało bez pomocy blisko 10 osób. – Największą jednak grozę w Łuszczynach budziło słowo „Jaworzno”.

Gdzie są ci milicjanci, którzy krzyczeli „paszot won”, gdzie są strażnicy, komendanci, blokowi, ci wszyscy, którzy podtrzymywali mechanizm obozu, przez jedenaście lat nie dając mu zdechnąć?

Bohaterowi Mularczyka, nie wymienionemu z nazwiska, wydawnictwo nie chciało wydać wspomnień z okresu, kiedy palił ukraińskie wsie jako prowokator. Otrzymał odpowiedź: „Temat jest nie bardzo odpowiedni w okresie, kiedy żywe są jeszcze wspomnienia zbrodni, dokonanych tak przez faszystów ukraińskich jak i polskich...” Była to odważna odpowiedź, możliwa w krótkotrwałym okresie „odwilży”. Na pytanie reportera, gdzie są towarzysze jego walki w akcji „W”, milicjant odpowiada:

„Kilku już nie ma, atak serca ni stąd, ni zowąd, reszta się jakby pod ziemię zapadła.” Niemal takich samych słów używa blokowa. Dzisiaj już nie zna. nie pamięta swoich towarzyszy, nie wie jak ich szukać ani gdzie mieszkają. Nic ją to nie obchodzi.

„Wyrzebię ich spod ziemi” - obiecuje Wojciech Machulik, były więzień, który czuje się odpowiedzialny za wyjaśnienie całej prawdy o Jaworznie.

Za późno. Już się nie znajdzie moich przełożonych - uprzedza Władysława K. – pozmieniali nazwiska. wyjechali. Nawet kiedy jej mąż, stary pracownik obozu, co prawda podrzędnej rangi próbował kiedyś zwrócić do swoich zwierzchników w swojej sprawie, okazało się to niemożliwe. Jaworzno to sprawa zamknięta i nie powinny stamtąd odzywać się żadne głosy.

Wojciech Machulik przynosi adres praktycznie nie do zdobycia. Jest to ulica i numer mieszkania Salomona Morela, drugiego komendanta obozu w Jaworznie. Był naczelnikiem od

1945 do 1951 roku. Kiedy kierował obozem, zginęło w nim czy umarło z powodu wycieńczenia 7 tysięcy więźniów. Co może powiedzieć na ten temat?

Otrzymuję również karteczkę z pierwszymi informacjami: „S. Morel. Najpierw funkcyjny w więzieniu na Mikołowskiej, Katowice. Potem naczelnik więzienia w obozie koncentracyjnym Jaworzno. Po wypadkach w Poznaniu obóz przeniesiono. Morel - naczelnik Okręgu Więziennictwa w Katowicach. 1968 - zajścia syjonistyczne. Morel na emeryturę. Obecnie korzysta ze stołówki koszemiej. Z nikim nie rozmawia. Indagowany w sprawie Jaworzna wpada w atak furii. Latem - sanatorium w Ciechocinku. Jego powrót - wrzesień.”

Mamy taką małą organizację, która zbiera różne wiadomości - wyjaśnia Wojciech Machulik i pozwala to opublikować.

Salomon Morel był panem na 56 hektarach zakazanej historii. Przyjmował najpierw „jeńców wojennych”, potem Ukraińców. To on powitał pierwszych młodocianych więźniów politycznych, których ulokowano w Jaworznie. Przejął dziedzictwo po kapitanie Mordasowie, który pod koniec służby miał już inne nazwisko, podała Władysława K., (ale zapomniała jakie), który przybył tutaj z 59 Armią I Frontu Ukraińskiego. Wywiązywał się bez zarzutu ze swojego zadania. Ślad zginął po Brunie Pfützu, zaufanym spółki SVO. Kto wie, jak potoczył się los Mordasowa, który lubił pić i strzelać, którego przerosła myśl, że ma tysiące wrogów w ręku. Komendant Morel miał więcej szczęścia, był lepiej zorganizowany i w swoją pracę włożył dużo więcej serca. On jeden nie wyjechał i nie przepadł, kiedy wypełnił rozkaz w Jaworznie. Słuch po nim nie zginął, pozostał w województwie katowickim, dla którego stworzył całą teorię „uobozowienia”. Opublikowaną w „Przeglądzie Więziennictwa” nr 17.

Można pokusić się o naszkicowanie sylwetki komendanta. Był szefem, który nie unikał osobistego angażowania się w „pracę nad więźniem”. Zawsze interesowała go teoria. W swojej pracy o zakładaniu i funkcjonowaniu obozów pracy przymusowej dla potrzeb przemysłu węglowego, ujawnił się, jako dobry organizator, pozbawiony sentymentów. Co prawda, wiele pomysłów przedstawionych w pracy nie jest nowych -

autor przenosi je jednak na grunt polski ze sporym zaangażowaniem. Obozy – dowodzi autor, to metoda bardzo pożyteczna w okresie trudności gospodarczych. Wynikają z niej spore korzyści. Nakłady minimalne, a pożytki wychowawcze ogromne. Wobec społeczeństwa najlepiej zrehabilitować się poprzez pracę w specjalnie do tego przygotowanych miejscach.

Współpracownicy z Jaworzna zapamiętali go szczególnie w sytuacjach, gdy gospodarskim krokiem przemierza hektary obozu, doglądając rozbudowy i dyscypliny. Był wielbicielem porządku, wspominają, a jednak był „humorystą”. - Znał tysiące dowcipów na każdą okazję, jak coś powiedział, to boki zrywać. Z drugiej strony, jeśli chodzi o więźniów, to żartów nie uznawał. Jak huknął, to echo rozchodziło się po całym obozie. Miał bardzo donośny głos. Od razu było wiadomo, gdzie akurat się znajduje. Dość łatwo wpadał w gniew. Nie lubił braku karności, wszystkich trzymał mocną ręką. Cała jego sylwetka budziła respekt. Chodził zawsze w mundurze, był postawny, silny, przystojny. Wiedział o tym. Nigdy nie zapominał o włosach, układał je w fale. Zawsze był bardzo starannie ubrany, niemal pedantycznie. Uniknął kontaktów z więźniami. Wołał, żeby więzień był dla niego cyfrą, wśród liczb czuł się najlepiej. Zajmował się statystyką obozu, miał wobec niego ambitne plany. Widział tutaj wiele więziennych bloków, całe betonowe miasto. Nie był sadystą, był ideologiem. Może to dzięki niemu Jaworzno spotkało tak duże wyróżnienie, zostało wybrane na eksperymentalne „Więzienie Progresywne”, gdzie reedukować się mieli młodociani więźniowie polityczni. Było to przedsięwzięcie o dużym znaczeniu. Na początku 1951 roku powierzono mu zadanie usunięcia śladów po Niemcach i Ukraińcach oraz przygotowanie obozu do przyjęcia nowego transportu. Plac budowy był już gotowy.

W 1951 roku Morel otrzymał awans i wrócił do Katowic, gdzie do 1956 roku nadzorował Ośrodki Pracy Więźniów, wykorzystując swoją wiedzę na temat obozów.

Salomon Morel mieszka dzisiaj w Katowicach, w osiedlu oddalonym od centrum miasta o pół godziny spaceru.

Szeregowe bloki siwej barwy są brzydkie, nie brzydsze jednak od innych, budowanych pod koniec lat pięćdziesiątych.

Nic już nie zostało z milicyjnego splendoru tej dzielnicy. Tynk odpada, płyty chodnika krzywią się i pękają. Tylko więcej tutaj niż gdzie indziej krat w oknach, żelaznych sztab, kłódek. Wszędzie domofony, od ulicy osiedle chronią kłęby zwiniętej siatki, jak zasieki. Wystarczy zadzwonić...

Gdyby tak stanąć z rejestrem zgonów w obozie Jaworzno, każdy z datą któregoś z lat pokoju, i zapytać o Ernę Bunschek, Józefa Bednarskiego, Hildę Zając... Przeczytać siedem tysięcy nazwisk, kogo pamięta? Co zrobił - żeby nie znaleźli się na tej liście? Czy to byłoby niehumanitarne?

Dzwonię do drzwi i Salomon Morel pozwala mi wejść. Nie wie o co chcę go zapytać. Uśmiecha się. Obozu nie ma, ślady po nim depczą dzieci ze szkoły podstawowej, dokumenty rozproszono po wielu, do niedawna niedostępnych archiwach. Wszystko działo się ponad czterdzieści lat temu. Kawał czasu. Tylu lat nie dożyła spora część więźniów w Jaworznie. Przez czterdzieści lat można przemyśleć życie na nowo, stać się kimś innym.

Mogę się domyślać, dlaczego w tym milicyjnym osiedlu okna komendanta nie są zakratowane. Wierzył zwierchnikom, kiedy mówili o tajemnicy służbowej. Nikt z więźniów nie znał jego nazwiska, nie miał zwyczaju się przedstawiać.

Przez ponad czterdzieści lat nikt go w tej sprawie nie niepokoił. A jednak, pierwsze pytanie rzucone w moją stronę brzmi: - „Skąd adres?!”

„Tajemnica służbowa” – odpowiadam. Pelen respektu dla tego rodzaju tajemnic, zaprasza mnie do środka.

Siadamy w niebieskawym świetle jarzeniówki, przy kuchennym stole. Nadal jest postawny, chociaż lekko przygarbiony, wciąż ma falujące włosy, teraz całkiem siwe. Ma szary, niezdrowy odcień twarzy. Niewiele chyba różni się od innych mężczyzn w jego wieku, przesiadujących na ławkach, karmiących wróble.

Więc o co chodzi?

Czy więźniowie się go bali? Jego głos nie jest ani ostry, ani nieprzyjemny.

Co sam przeżył, zanim objął dziedzictwo po Mordasowie?

Był pan w latach 1945 - 1951 komendantem obozu pracy w Jaworznie?

W oczach niedowierzenie, potem panika.

Nie dotrzymano tajemnicy. Zrywa się z krzesła, ale zaraz siada, nie wolno mu się denerwować, musi unikać wzruszeń, nie wolno mu wpadać w furję. Oddycha ciężko.

„Kto pani to powiedział? Skąd pani wie?” Głos staje się przenikliwy, atakujący, chociaż już pozbawiony siły.

Potem nagle rezygnuje – „jestem starym człowiekiem, ciężko chorym na serce. Nie będę wracał do tamtych czasów. Nie życzę sobie takich rozmów.”

„Już wychodzę. Proszę tylko powiedzieć, czy prawdą jest...”

„Niczego nie powiem! Rozumie Pani? Nigdy niczego. Skąd pani wie takie rzeczy?”

„Jakie ma pan odczucia po latach? Dlaczego nie chce pan odpowiedzieć na kilka pytań?”

„Bo to nie jest czas na moje zwierzenia. Nikt dzisiaj nie chce zrozumieć, że to były zupełnie inne czasy. Dzisiaj w ogóle nie powinno się do tamtych spraw wracać. To powinno być zakazane. Żądam, żeby o tym w ogóle nie pisać.”

Jeszcze na schodach przypomina mi:

„Jestem naprawdę stary, naprawdę chory na serce...” Jakby dyktował mi do notesu.

Klara z Szopienic też była stara, a Erna Bunschek nigdy nie będzie stara, umarła w obozie mając 16 lat. Jest wiosna 1990 roku. Wzywa mnie naczelnny redakcji „Tak i Nie”:

„Przyszedł do mnie pewien staruszek ze skargą. Podobno znęcasz się nad jakimś schorowanym człowiekiem! On już nie pamięta. Wrak - nie człowiek. Chcesz go mieć na sumieniu? Rzuć ten temat.” „Nie ma mowy.” „Ale bez żadnych nazwisk. Pamiętaj, żadnych nazwisk.” Gdyby S. Morel wiedział że kiedyś przeczyta o sobie jako o komendancie obozu w Jaworznie, może by wzorem wielu swoich kolegów zmienił nazwisko, wyjechał. wtopił się w tłum.

Uwaga, że nie ma siły, która by go zmusiła do odpowiedzi na pytania w sprawie Jaworzna. Kto wie, czy nie ma racji.

Komisja - Badania Zbrodni Hitlerowskich - Instytut Pamięci Narodowej, pismem sygnowanym OK.Ka/STo 46/90 informuje, że zamierza przesłuchać Salomona Morela „na okoliczność stosunków panujących w obozie pracy w Jaworznie oraz grzebania zwłok więźniów”. Żadnych faktów na ten temat nie uzyskano.



Podstawowym wyposażeniem każdego więźnia była miska i łyżka. Identyczna, chociaż nie autentyczna miska i łyżka – eksponaty Izby Pamięci.

Podstawowym wyposażeniem celi był „kibel”, również w Jaworznie był on używany w porze nocnej. Ekspонат Izby Pamięci. Ofiarodawca – Więzienie w Mysłowicach.
(Wykonanie luksusowe – brzegi nie są ostre.)



EKSPERYMENT PEDAGOGICZNY

W Jaworznie zorganizowano makarenkowskie więzienie dla „wywrotowej” młodzieży

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 17/92 r.)

Kiedy w Jaworznie siedzieli jeszcze Ślężacy wspólnie z Ukraińcami, w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego rodziła się już nowa idea. 20 kwietnia 1949 roku, na II Plenum KC PZPR Bolesław Bierut uczynił znamiennej uwagę:

„O młodzieży na naszych obradach mówiło się na ogół mało. Kierownicy naszych organizacji albo nie wspominali albo zahaczali o sprawę młodzieży zbyt ogólnie. Ale z tego, co mówiło się nawet w tych drobnych fragmentach, słyszeliśmy przykłady intensywnej działalności wroga na tym odcinku. Podniesienie poziomu ideologicznego milionowych rzesz młodzieży - to podstawowe zadanie partii, Związku Młodzieży Polskiej i innych organizacji oświatowych i wychowawczych. Ale bez wzmocnienia kierowniczej roli partii, bez wzmocnienia wpływu terenowych organizacji naszej partii na terenowe organizacje Związku Młodzieży Polskiej, bez wzmocnienia wpływu partii na cały system szkolenia i wychowania młodego pokolenia - nie wypełnimy tego zadania.”

Było to wytyczanie kierunku działań, które spowodowały, że tysiące uczniów i studentów znalazło się w więzieniach. Bierut obiecywał, że „zajmie się młodzieżą zarówno z miast jak i ze wsi. zarówno ze szkół jak i fabryk” - i słowa dotrzymał.

W 1950 roku Departament Więziennictwa MBP wydał Instrukcję nr 11 w myśl której wszystkich więźniów podzielono według rangi ich przestępstwa. Najgroźniejszymi przestępcami, skazanymi na największe wyroki, okazali się więźniowie polityczni. Politycznych należało jak najszybciej izolować od

innych więźniów oraz osadzać osobno. Instrukcja uregulowała zarazem kwestię oddzielnego umieszczania więźniów młodocianych. dla których wskazane byłoby tworzenie nowych zakładów karnych. Natychmiast pojawił się problem - co robić z młodocianymi więźniami politycznymi, którzy niejako z podwójnej przyczyny powinni zostać starannie odizolowani i osadzeni w odrębnych więzieniach? Było to pilne pytanie, z każdym rokiem pojawiała się więcej politycznych przestępców, którzy nie ukończyli nawet osiemnastu lat. Kto wymyślił nowe Jaworzno? Prawdopodobnie znowu minister Radkiewicz, którego cień kładzie się nad tym miejscem od 1945 roku.

Kazimierz Koźniewski, który swego czasu, o czym później, interesował się Jaworzniem, sugeruje, że „to pan Sławiński z Wilna i jeszcze paru pedagogów przekonali ministra Radkiewicza, że zamiast więzienia normalnego, należy stworzyć więzienie „makareńkowskie”, w tamtej sytuacji, według nich, było to wyjście znakomite!”

Jaworzno znajdowało się pod stałą opieką ministra bezpieczeństwa publicznego. W kwietniu 1945 roku zatroszczył się przecież wspólnie z wojewodą Śląsko - Dąbrowskim, ob. gen. dyw. Zawadzkim, by dla tysięcy przymusowo zatrudnionych ludzi przygotować „pomieszczenie w strzeżonych barakach względnie obozach”.

Wykorzystano obóz koncentracyjny w Jaworznie. W 1946 roku podjął wspólnie z marszałkiem Michałem Rolą - Żymierskim decyzję o wysiedleniu 260 tys. pozostałych w Polsce Ukraińców z ich stron rodzimych. Obóz w Jaworznie czekał już na najbardziej niepokornych. Pierwszy i ostatni kronikarz Jaworzna, kapitan Zdzisław Jędrzejewski, napisał we wstępie do swojej monografii:

„Dużo czasu i zainteresowania tym zagadnieniom (tzn. obozowi dla młodocianych przestępców politycznych) poświęcił ówczesny minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz oraz dyrektor departamentu więziennictwa, którym zawdzięczać można powstanie idei młodzieżowego więzienia w latach pięćdziesiątych, powstanie więzienia w Jaworznie i jego szybką rozbudowę.”

Minister Radkiewicz tak ściśle był związany z Jaworzniem, że kiedy upadała jego kariera, upadło również Jaworzno. Wiosną 1956 roku odwołano go z rządu, w więzieniu jaworznickim wybuchł bunt, rok później Radkiewicza obciążono, za wypaczenia w Ministerstwie i wyrzucono z partii. Jaworzno prze stało być więzieniem.

Decyzję o zorganizowaniu specjalnego zakładu dla wywrotowej młodzieży podjął Radkiewicz w 1951 roku. Nowe więzienie najpierw podlegało wydziałowi polityczno-wychowawczemu, a później inspektoratowi dla więźniów młodocianych w Departamencie Więziennictwa MBP. Plany Ministerstwa co do obozu były imponujące, w przeciągu dwóch lat Jaworzno miało stać się największym i najnowocześniejszym zakładem karnym tego typu we wschodniej Europie. Plan etatów dla funkcjonariuszy przewidywał na razie 468 stanowisk. 25% personelu miał stanowić aparat polityczny. Pośpiesznie rozwalano wysłużone baraki, siłami więźniów stawiano trzypiętrowe bloki.

Rozbudowa ośrodka zaczęła się od początku 1951 roku. powstały wtedy pierwsze budynki mieszkalne i warsztaty, gdzie według początkowych, ambitnych planów, miała się szkolić młodzież. Ogólna pojemność więzienia oceniona została na 2474 miejsc. Do połowy 1951 roku naczelnikiem jest Salomon Morel, następnie do 1954 roku Zdzisław Jędrzejewski, który ustępuje miejsca swojemu zastępcy do spraw politycznych. Mikołajowi Ilkiewiczowi. Ostatnim naczelnikiem Jaworzna, któremu przypadła rola likwidatora, był Benedykt Chochoł.

Nie spodziewano się napływu takiej masy młodych ludzi. Była to wyjątkowa młodzież. Zdzisław Jędrzejewski zanotował, że w pierwszym transporcie, złożonym z ponad dwóch tysięcy więźniów politycznych, odkryto zaledwie dziesięciu analfabetów. W 1955 roku, kiedy więźniów politycznych zastępowano więźniami kryminalnymi, co trzeci przybyły nie umiał czytać.

Budowane z dużym wysiłkiem warsztaty na terenie obozu dotrwały tylko do 1955 roku. Później niemal wszystkich więźniów skierowano do pracy w kopalniach. Reszta pracowała na prefabrykacji, więziennej fabryczce produkującej materiały

budowlane. Praca w więzieniu stała się tym, czym zwykle jest w obozach pracy - niewolniczym przymusem.

Naczelnik Jędrzejewski poddał się naciskom Ministerstwa Górnictwa, które od początku istnienia zakładu karnego w Jaworznie domagało się siły roboczej. Kiedy brakuje ludzi do pracy pod ziemią; niemożliwe było istnienie jakichkolwiek eksperymentów wychowawczych, w każdym razie nie w pobliżu kilku wielkich kopalń. Ministerstwo stwierdziło, że praca pod ziemią najlepiej wpłynie na politycznych odstępców. Nie obyło się jednak bez pewnych oporów. Naczelnik Zdzisław Jędrzejewski oznajmił krótko:

„Sama praca jako jedyny czynnik wychowawczy jest niewystarczająca.”

Kiedy likwidowano Jaworzno, dużo wysiłku włożono w zacieranie wszystkich śladów, jakie mogło zostawić po sobie „eksperymentalne” więzienie.

Próżno szukać jakichś uwag w książkach poświęconych polskiemu, więziennictwu. Jerzy Śliwowski w „Polskiej myśli penitencjarnej” z 1972 roku informuje w dwóch zdaniach: „Pierwszy zakład karny dla młodocianych, mający dobrą tradycję, nie jest dostatecznie zbadany naukowo. Nie ma również żadnego opracowania opartego na realiach lub rozważaniach teoretycznych”.

Jedynie praca byłego naczelnika jest dowodem na to, że Jaworzno istniało, i że trudno mówić tutaj o „dobrych tradycjach”.

Jerzy Śliwowski nie komentował faktu, że o drugim zakładzie dla młodocianych przestępców, tym razem kryminalnych, w Szczypiornie - napisano liczne artykuły, nawet książki. W żadnym opracowaniu z zakresu więziennictwa nie pominięto Szczypiorna, Jaworzno natomiast skutecznie wykreślono z historii. W opracowaniu „Więziennictwo PRL” R. Czapiewskiego i P. Wierzbickiego nie ma nawet wzmianki o młodocianych więźniach politycznych i ani słowa o Jaworznie.

Zainicjowana przez Bieruta „walka z uczniami” okazała się zbyt kompromitująca dla ówczesnej władzy, by ją wywlekać na światło dzienne, a nawet szkoła, do której mogli początkowo uczęszczać więźniowie, okazała się fikcją. Skoro nie by-

ło Jaworzna, nie było również żadnego technikum. Szkoły na wolności nie chciały i nie mogły honorować świadectw z Jaworzna, ponieważ w oficjalnych rejestrach takie technikum nigdy nie figurowało, przyznanie się do pobytu w Jaworznie jeszcze długo nie przynosiło niczego dobrego. Nawet po 1956 roku. Pozostaje jednak ludzka pamięć.

Były więzień Jaworzna, Wincenty Pyka, umieścił w jednym z katowickich dzienników list - zapytanie do swojego dawnego naczelnika. Nie wyjawiona historia zawsze będzie nękana pytaniami.

„Szanowny Panie Naczelniku!

Zwracamy się do Pana z całym szacunkiem należnym przeciwnikowi, chociaż nam Pan tego szacunku odmawiał, gdy byliśmy pod Pana „opieką”... Do dziś nurtuje mnie pytanie, czy celem powstania więzienia progresywnego w Jaworznie była eksterminacja polskiej młodzieży, czy też „nawrócenie”? Jeżeli celem miało być „nawrócenie”, to dlaczego było tak nieudolnie robione?”

„...Przecież to w myśl Pańskich wytycznych strażnik z więzyczki strzelał do Zbyszka Toporowskiego, gdy ten podawał chleb, cześć swojej skromnej porcji, kolegom skazanym na głodówkę przez Pana właśnie. To wyszkolony przez Pana funkcjonariusz postrzelił śmiertelnie śpiącego więźnia w dniu 15 maja 1955 roku i choć Pana już wtedy w Jaworznie nie było, ponosi - Pan za to pośrednią odpowiedzialność. Przecież to Pan osobiście zapowiedział Mirkowi Kryszczyńskiemu w maju 1951 roku, gdy przyjmował Pan osobiście transport z Poznania, że stąd już nie wyjdzie. Wyszedł, panie naczelniku Morel, wyszedł, gdy ten „wspaniały eksperyment” przenoszono do Łławy. Wyszedł mimo wysiłków ze strony pańskich następców, aby zatrzymać go tak długo, dopóki nie zmontuje w Łławie radiowęzła, który uprzednio miał zdemontować w Jaworznie.

Na pewno nie przyszło się Panu w najbardziej koszmarnym śnie, że właśnie w okresie największego terroru ten radiowiec – samouk, (który powinien chodzić do szkoły, a nie być więzionym), pracując jako konserwator projektora kinowego, wykorzystywał aparaturę dźwiękową tego urządzenia do słuchania polskich audycji z Londynu!

Tak, panie naczelniku, stanowczo byliśmy nie doceniani, ale nie mieliśmy kompleksów. Byliśmy i wciąż jesteśmy świadomi swojej przewagi moralnej nad wami.”

List ten, oczywiście bez odpowiedzi, wywołał wspomnienia innego więźnia z Jaworzna, prof. dr hab. Józefa Półciwarka, mieszkającego w Rzeszowie. Napisał:

„Zjawiłem się w Jaworznie po aresztowaniu marcowym 1955 roku w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Rzeszowie, po więzieniu na UB w Rzeszowie i politycznym wyroku, jako 18 - letni chłopiec.

Wielki obszar więzienia w Jaworznie ogromna masa młodych wiekiem więźniów politycznych (ok.2500 - 2700 osób z całej Polski) dryl wychowawczy i ogólna atmosfera tam panująca - wszystko to było niesamowite. Po bardzo wielu latach nieobecności w Jaworznie wreszcie zjawiłem się tam przejeżdżając, z żoną w sierpniu 1990 roku.

Więzienia od lat już tam nie ma. Obiekty przejęło miasto. Oczywiście odnalazłem owe bloki więzienne, dziś zamieszkałe przez rodziny. Odszukałem wiele innych śladów po miejscu dawnej gehenny patriotycznej młodzieży polskiej, wcześniej więzionych tam i mordowanych przez komunę Ukraińców z UPA. Ale nie znalazłem niczego, co by upamiętniało te szczególne miejsce. Aż serce boli, iż tak się o tym zapomniało. A na domiar, jak na urągowisko, stoją owe bloki więzienne przy ulicy o nazwie Inwalidów Wojennych.

Czym ona się wiąże się z tym miejscem szczególnym? Jakie niesie ona skojarzenia?... Wyjechałem z Jaworzna bardzo sfrustrowany i bolejący. Czy tak zbiorowa pamięć społeczna ma prowadzić do zapomnienia o miejscu, które winno stać się szczególnie upamiętnione właśnie po to, by nawoływać do wspomnień, by przestrzegało przed złą totalitaryzmu?”

„A może to nieprawda? Może zakład w Jaworznie był jedynym jasnym miejscem na mapie więziennictwa w tamtych latach? I dlatego musiało odcierpieć swoje, dlatego należało milczeć o warunkach, jakie stworzono tutaj młodym? Należało milczeć, aby o niesłychanych warunkach panujących w Jaworznie nie dowiedział się Związek Radziecki i nie wyciągnął

konsekwencji z faktu, że młodych wrogów klasowych tutaj się nie represjonuje, a jedynie łagodnie nawraca?

Przecież są ludzie, którzy do dzisiaj nie znajdują słów, aby opisać urodę tego więzienia."

Kazimierz Koźniewski do teraz jest zafascynowany ówczesnym Jaworzniem, od chwili, kiedy poznał je bliżej podczas spotkania autorskiego w 1953 roku.

„Życzę Pani. aby Pani mniej wierzyła tej gromadzie byłych więźniów Jaworzna, którzy akurat znajdują się na Śląsku i w tamtejszej prasie pisują głupawe listy” - poradził mi w swojej listownej odpowiedzi na moje pytanie. Jakie wtedy, podczas jego wizyty, w 1953 roku - było Jaworzno? Jaworzno w pamięci Kazimierza Koźniewskiego jest miejscem zupełnie innym od miejsca, które zapamiętali więźniowie, to prawda.

Warto jednak przytaczać fragmenty jego wspomnień, uwag, mimo że tak naginają prawdę do wyobrażeń o niej. Trzeba przyznać, że jest jednym z nielicznych, którzy w ogóle wymieniali nazwę „Jaworzno”, przyznawali, że widzieli na własne oczy eksperymentalne więzienie. Należy go uznać za świadka. Wojciech Tomasik, autor pracy „Polska powieść tendencyjna 1949 –1956” poświęcił metodom pisarskim Koźniewskiego sporo uwagi. Doszedł do wniosku, że reportaż Koźniewskiego znakomicie ilustrują socrealistyczną naturę prawdy. Etykieta „rzeczywistość” przysługiwała w socrealizmie wyłącznie tym składnikom świata, które utwierdzały oficjalną ideologię. Tylko świat „zapisany”, poddany odpowiednim korektom i przekształceniom, mógł zasłużyć na miano „prawdziwego” i wyprzeć niedoskonały świat realny. Kazimierz Koźniewski nadal wierzy w swój dawno temu „zapisany” obraz Jaworzna.

„Wróciłem do Warszawy całkiem oczarowany - opisywał w jednym ze swoich artykułów powrót z wizyty w więzieniu - nie jest to najfortunniejsze słowo wobec tego rodzaju instytucji społecznego użytku, ale nie umiem wynaleźć innego, które by adekwatnie odzwierciedlało moją ówczesną aprobatę dla świetnego eksperymentu”.

„Napisałem ogromny pięćdziesięciostronnicowy reportaż sławiący pedagogiczne osiągnięcia. Reportaż nie został nigdy opublikowany, sprzeciwili się temu ci, którzy eksperyment

nadzorowali, z niezrozumiałych dla mnie wtedy przyczyn nie chcąc ujawnić swej niezmiernie pięknej pracy."

Według autora Jaworzno było nie tylko „niezmiernie piękną pracą” służb bezpieczeństwa, ale również „więzieniem bez krat”, „świątynym eksperymentem”.

Pisał: „W więzieniu, tamtym wzorowym więzieniu, byłem przed wielu laty raz jeden tylko. Wydałem podówczas powieść, która zyskała sobie poczytność, zapraszano mnie często na spotkania z czytelnikami, szczególnie tymi, których zwykliśmy określać ludźmi młodymi.”

Pewnego dnia zaterkotał telefon i odebrałem propozycję, by pojechać z autorską wizytą do eksperymentalnego więzienia, w którym - wobec młodych, ukaranych za udział w kontrrewolucji - więc politycznych, stosuje się zupełnie odmienny, odbiegający od twardych reguł zwyczajnego więzienia system karny i wychowawczy zarazem. Polega on – przede wszystkim na zaufaniu i swobodzie, na nauce i zajęciach artystycznych oraz technicznych, na nieustannych politycznych, moralnych i historycznych dysputach z młodymi”. Tak pisał w latach sześćdziesiątych i zdania nie zmienił do dzisiaj. 19 maja 1991 roku pisze: „Po tylu latach, po tylu zmianach uważam, że w ówczesnej, a nawet w każdej sytuacji, ów eksperyment jaworznicki był znakomitym eksperymentem pedagogicznym.

„Ci młodzi korzystali z pysznego życia, oczywiście więziennego, więc pełnego ograniczeń, ale wiedzieli swoje.”

I wyjaśnia: - „Reportaż nie ukazał się nie dlatego, że nie miałem na ten reportaż wydawcy - redakcja i „Nowej Kultury” i „Przekroju” już na niego czekały. Po prostu artykuł ten, ów reportaż nie został w ogóle dopuszczony do dalszego przekazania ich redakcjom, przez gabinet ministra Radkiewicza.

Każdy z nas. pisarzy (Wygodzki, Jarochowska, paru innych), którzy byliśmy zapraszani na spotkania autorskie z więźniami Jaworzna, musieliśmy zobowiązać się, że cokolwiek potem napiszemy, musi mieć pozwolenie ministra Radkiewicza na publikację.

Każdy z nas napisał taki reportaż, ja również - wielki i bardzo entuzjastyczny i żaden z tych reportaży nie został opubli-

kowany. Jeżeli idzie o mnie, uzasadnienie - lekko żartobliwe - było takie:

„Z tego reportażu wygląda, iż więzienie w Jaworznie było najpiękniejszym miejscem w Polsce...” Koźniewski nie mógł wiedzieć, jak Jaworzno związane jest z osobą ministra Bezpieczeństwa Publicznego, jego własnym eksperymentem, jakie wspaniałe plany snuje co do niego, jak pośpiesznie go powiększa - i ilu młodym zamierza tam właśnie odebrać młodość. Niewątpliwie Radkiewicz pragnął ciszy nad Jaworzniem. Tajemnicy. Ale czy mógł przypuszczać, że jego rola nie będzie polegać na tropieniu prawdziwych relacji, ale na utracaniu panegiryków?

I co miał robić z tymi, budzącymi niesmak - „dziełami”?

Ktoś kiedyś, po dziesiątkach lat mówił mi, że w jakimś archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości leży ten maszynopis, ale czy to prawda? Nie wiem.

Koźniewski o więźniach: „Byli to młodzi ludzie pełni radości i optymizmu. Widziałem, czułem, ile rzetelnych radości ludzkich i obywatelskich zdobyli między murami i coraz mniej pojmowałem milczenie twórców tego eksperymentu.”

Kogo więc w tym samym czasie widział następny świadek, również pisarz, Sławomir Mrozek?

Kogo to widział w 1952 roku i kogo opisał w opowiadaniu „Jaworzno”?

„....Normalne twarze są chude albo tęgie, a te wszystkie były jednakowo obłe. to znaczy nie tęgie, bo nie z odżywienia, tylko z opuchlizny. Więc jakby to nie ludzie szli, ale worki czymś, byle jak wypchane, bez żadnego ludzkiego wyrazu, poruszające się jednakowo i mechanicznie. W żywym kontraście do manekinów szło po bokach kolumny kilka ludzkich postaci. Mundury zielone, twarze czerwone, a w rękach karabinyzymane w gotowości”.

Sławomir Mrozek był wtedy młodym dziennikarzem. Sam przyznaje, nastawionym optymistycznie do nowego ustroju, hasła, które zastępowały myśli, potrafiły uwodzić młodych. Nie wszystkich jednak i nie do końca.

Mrozek nie miał jeszcze nic antypaństwowego na papierze, ale za myśli, które mu już świtały w głowie, mógł się znaleźć

w Jaworznie, w tym pochodzie skazańców, o barwie, jak uważał „szarości, białawości pleśni i razowej mąki”.

Widok więźniów konwojowanych do kopalni każe mu przyznać: „Otóż wiedziałem, jakoś przecież wiedziałem, że w Jaworznie znajduje się Obóz Pracy, jeden z obozów pracy, choć nie wiedziałem, skąd ja to właściwie wiedziałem, miejsce, w którym wrogowie ustroju, męty i pasożyty poddawani są re-edukacji przez pożyteczną pracę. Ale o tym, choć rzecz była słuszna, więc chwalebna, nie pisało się. A zatem nie mówiło. Wiedzieć w zasadzie nie było wzbronione, ze względu na wychowawczy charakter takiej wiedzy, ale powinna to być wiedza ogólna, a więc bez żadnych szczegółów. Oraz, jeżeli nie przede wszystkim wiedza nie wyznawana, nie dzielona z nikim, ściśle na użytek prywatny obywatela, nie do rozmów między obywatelami.”



Igła z odłamka kości wykonana na Zamku w Lublinie, przez Danutę Górską (Obecnie Terebus) z Warszawy. Ekspонат Izby Pamięci.

„WYCHOWAWCY”

Pięć lat żyli wśród ofiar „błędów” i niczego nie dostrzegli.

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI nr 18/92 r.)

„Ogromny teren więzienia otoczony był dwoma rzędami murów. Lekkim, choć uzbrojonym w miazgę szklaną murem wewnętrznym oraz z murem drugim, zewnętrznym, grubym, wysokim na 6 metrów, umocnionym sześcioma basztami i zaryglowaną żelazną bramą. Mury opasywały bloki mieszkalne z celami, w środku znajdowała się szkoła, dom kultury, ogród z inspektami, plac zebrania, boisko sportowe”. Tak wyglądało Jaworzno Koźniewskiego.

Opis sugeruje, że za murami zbudowano coś - na kształt internatu o nieco bardziej zaostrzonym rygorze. Jest jeszcze jedna charakterystyka, byłego więźnia, któremu plan Jaworzna wrył się na zawsze w pamięć. Wojciech Machulik używa innych określeń do opisu topografii obozu, jego „lagier” ma kształt trapezu i podzielony jest na dwie części. Pierwszej, położonej bliżej drogi, pilnuje pięć „kogutków”. Tutaj znajdował się piętowy magazyn ubrań więziennych i górniczych, bloki mieszkalne dla więźniów zatrudnionych na kopalni „Kościuszek” szpital więzienny, kwarantanna i izolatka, budynek ze salą widowiskową. Budynki otoczone były drutami pod wysokim napięciem.

Miedzy pierwszą a drugą częścią znajdowała się „oś”, duża budka wartownicza - siedziba oficera inspekcyjnego. Druga część obozu składała się z wielu „okręgów”. Były tutaj warsztaty i prefabrykacja, szopa lokomotyw i rozpoczęta budowa następnego bloku więziennego, budynek reprezentacyjny naczelnika oraz oficerów politycznych, sala widzeń, budynek dyżurnego rozliczającego grupy wychodzące do pracy. tory kolejowe z rampą na terenie prefabrykacji. Obozu pilnuje ogółem jede-

naście „kogutków”, a wewnętrzne druty pod wysokim napięciem otaczają warsztaty oraz magazyny żywnościowe.

Kiedy wiosną 1951 roku do Jaworzna przybyli nowi wychowawcy, więzienie wciąż jeszcze wyglądało jak niemiecki obóz. Budowa bloków była ledwie zaczęta, tylko nagromadzenie materiałów budowlanych cokolwiek mówiło o przyszłym wyglądzie więzienia.

Poszukując jakichkolwiek śladów po „Więzieniu Progressywnym” natrafiłam na informację, że być może dokumentacja zakładu znajduje się w Ilawie. Tutaj przeniesiono część młodzieży i jej dokumenty, zapewne naczelnik Benedykt Chochół zabrał ze sobą wszystkie pozostałe archiwa. Niestety, po prawie czterdziestu latach nie ma po nich śladu.

Obecny naczelnik Zakładu Karnego w Ilawie, Benedykt Dymowski. przesłał mi uprzejmy list: „Z przykrością zawiadamiam, że nie jestem w stanie udostępnić Pani żadnych materiałów z Jaworzna, a to tylko z tej przyczyny, że w naszej jednostce takowych nie posiadamy.

Służę jednak nazwiskami i adresami naszych emerytów, którzy uprzednio w krótszym lub dłuższym czasie pełnili służbę w interesującej Panią jednostce. Mogą oni opowiedzieć o tamtych czasach lub udostępnić swoje prywatne pamiętki z tamtego okresu ich służby.”

Był to szczęśliwy przypadek - tym bardziej, że byli wychowawcy zgodzili się na rozmowę. Spotkanie odbyło się w reprezentacyjnej sali ilawskiego więzienia w której wciąż jeszcze królowała rzeźba proletariusza, zwycięsko kroczącego po kuli ziemskiej. Przyszło czterech dystygowanych panów, wszyscy byli wychowawcami w Jaworznie i mieli dużo sentymentu do czasów swojej młodości. Od nich dowiedziałam się, jakie wrażenie robiło Jaworzno na młodych oficerach wiosną 1951 roku. Bardzo przyjemne wrażenie. Piękna pogoda, ciepło, lasek. Tylko baraki były cholernie niewygodne, wiało jak wszyscy diabli, deski nie do wyleżenia.

Przyjechało nas coś wtedy ze dwa bataliony chłopów, bloki i administracja dopiero w budowie, wszystko jeszcze w proszku. Ale stolówka była. a to najważniejsze. Słowem. wrażenie bardzo pozytywne - mówi Henryk J. Reszta mu przytakuje.

Zastaliśmy jednak dramat - ciągnie Henryk J. - Starzy pracownicy obozu dopiero szykowali się do drogi, przyjechaliśmy trochę za wcześnie. Wywożono Ukraińców do Bydgoszczy, zdaje się. Było tam jeszcze trochę Niemców. Trudno powiedzieć, co się tam działo. Należało oczyścić obóz. Obok w lasku nieboszczyk na nieboszczyku, wystarczyło łopatę wbić. Wyłukli ich. Tych, co pozostali, załadowali, pojechali.

- Czy pan jest tego pewien?

Tak było, tak opowiadali starzy strażnicy, którzy mieli odejść. Opowiadali przy wódce, naprawdę rzeczy niesamowite. Ci strażnicy najbardziej lubili tak zwaną „pokazówkę”. To była ich jedyna rozrywka, bo już było wiadomo, że obóz się kończy i nie jest potrzebna taka ilość więźniów, bo tam były ogromne tłumy. No więc brało się naprzeciw siebie Ukraińców i Niemców, mówiło – „albo oni, albo wy”, dało każdemu po kiju i zaczynała się krwawa bijatyka. - Na śmierć i życie, Musieli się sami mordować. Robiła się jatka. Potem się wszystkich polewało motopompą i ci, co przeżyli, mieli za zadanie pozbierać trupy i pochować.

Zapytałem, gdzie się te wszystkie trupy chowało, na cmentarzu? Nie, tutaj w lasku, trochę dalej od obozu, woziło się ciała furmanką. Nawet gadałem z takim jednym woźnicą, który właśnie był od wywożenia zmarłych. Na okrągło woził, mówił, dniem i nocą, a cały czas nie trzeźwiał, pijaniuteńki, a wiedział, gdzie jechać.

Słyszałem od strażników, że tylko na początku chowali Niemców na cmentarzu - wtrącił Jan K. - Potem ksiądz odmówił im chowania, powiedział, że jak tak dalej pójdzie, to nie starczy miejsca dla jego parafian. I odtąd zaczęli chować w lesie. Mówili, że nawet lepiej, że to mniej kłopotów. Jeszcze pamiętam, że tym Niemcom bardzo zależało, żeby ich w trumnie chować. Strasznie zasadniczy naród.

A nasi woźnicy byli wciąż pijani, bo Polak wiele rzeczy może zrobić, ale nie na trzeźwo. Musi być pijany, jak ogląda takie rzeczy. No więc Niemcy sami zaprzęgali się do wózków, żeby trumny przywieźć ze Szczakowej, bo stamtąd brało się trumny. Do Szczakowej jest kawał drogi, to jakby inne miasto. I przywozili, żaden nie uciekł.

Strażnicy mówili - kontynuuje Henryk J. - że nie mogli uciec. Społeczeństwo, co mieszkało koło obozu, lepiej ich pilnowało niż strażnicy. Jakby który chciał uciec, zaraz by go ludzie rozszarpali. Przejdzie taki druty, przejdzie mur, a przez ulicę Jaworzna nie przejdzie - zakatrupią. Ale kto to teraz wie, jak było? Kiedy obóz oczyszczono, okazał się całkiem przyjemny.

Henryka J. zauważono jeszcze w szkole, w liceum pedagogicznym w Myśliborzu. Był aktywistą, niezmordowanym działaczem, pierwszym do agitacyjnej roboty. Ale takich było wielu. Henryk J. ze swoją szczupłą, sympatyczną twarzą przypominał rosyjskiego intelektualistę sprzed rewolucji. Kogoś na kształt Czechowa. Budził zaufanie.

Kiedy wezwano go na UB, ugięły się pod nim kolana. - Ale dlaczego - pytam - czego mógł się obawiać od Urzędu, który dbał o bezpieczeństwo takich właśnie jak on młodych działaczy? - Ponieważ nikt nie mógł być pewien, czy jest wystarczająco działaczem, czy jego aktywność jest zadowalająco aktywna. Dlatego pożegnał się z rodzicami, spodziewał się najgorszego. Ale spotkało go najlepsze. Zaproponowano mu pracę. Obdarzono zaufaniem, którego obiecał nie zawieść. Podsunięto krzesło i z samym szefem szczecińskiego UB wypił herbatę. Poczęstowano papierosem jak dorosłego. Kiedy wyszedł z gmachu Urzędu był szczęśliwy, chciało mu się żyć. - Byłem takim entuzjastą - wyznał - świat wydawał mi się jasny, piękny. Wszystko było proste - ja byłem po lepszey, szlachetniejszej stronie ludzkości...

Został kadetem, a po dwóch latach wysłano go do Jaworzna. Po przyjeździe od razu się zdecydował, że zostanie. Powiedział, o tym zastępcy Morela, Piątkowskiemu, który dokładnie wyjawiał mu, jaki jest cel eksperymentalnego więzienia. Nie mógł sobie wyobrazić lepszego bardziej odpowiedzialnego i ambitniejszego zadania.

Wyraziłem zgodę z różnych przyczyn. Cała nasza prawda polega na tym - co myśmy mogli wiedzieć. Kto wtedy wiedział? Kiedy umarł Stalin, nie mogłem w klasie wykrztusić słowa. A tamci chłopcy nie, zacięte twarze. Żaden nie zapłakał. Dopiero później, w 56 roku, na Uniwersytecie Marksizmu-

Leninizmu, wykładowca coś wspomniał o wypaczeniach. Wtedy pierwszy raz usłyszałem o błędach.

Pięć lat żyli wśród ofiar „błędów” i niczego nie dostrzegli. Zablockowana myśl, oczy i słuch, - Siedziała reakcja - upiera się Jan K. – kontrrewolucjoniści. Złapano ich z bronią w rękę. Niebezpieczni. Jan K. stracił dla nich zdrowie i nerwy, nie były to więc jakieś pokrzywdzone dzieci.

Jan K. jest przygarbiony, chudy, najbardziej schorowany. Przypadek sprawił, że poczuł się lepiej i mógł przyjść na spotkanie. Potem powie że spodziewał się lepszej atmosfery. Lepszych wspomnień. Trochę żałuje, że przyszedł.

Przed zwerbowaniem do Jaworzna pracował w Komitecie Miejskim w Chorzowie. Miał stopień oficerski. Wahał się, kiedy zaproponowano mu pracę w eksperymentalnym więzieniu, chociaż rozeszły się pogłoski że biorą najlepszych, ściąganych z całej Polski. Wahał się, bo UB nie obiecywało lekkiej pracy, mówiono o szczególnie niebezpiecznym elemencie, przeciw któremu trzeba było postawić najbardziej doświadczoną kadrę.

Ale nie z tego powodu w końcu wyraził zgodę, dawano lepsze pensje i obiecywano mieszkania. Poza tym doświadczenie jednak mówiło, że praca wśród politycznych jest ciekawsza, mniej było wśród nich recydywy, w ogóle całkiem inny poziom. Na początku nie wiedział, co będzie robił i zapytał o to, powiedziano, że jego główne zadanie będzie polegało na dopilnowaniu, co więźniowie między sobą mówią i zorganizowanie tego rodzaju działań. - Czyli normalne czynności – podsumował Jan K.

Stanisław Ł. przyjechał do Jaworzna najwcześniej, z Chełma. Pracował w Komitecie Miejskim, kiedy pewnego dnia dostał wezwanie. Departament Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zaimponowało mu przeniesienie w atrakcyjny wtedy rejon, prawie na Śląsk. - Chełm jest na upadku, co tutaj będziesz miał, a tam przemysł się rozwija, tam jest teraz przyszłość. Stanisław Ł. był ojcem dwóch synów, i ze względu na tę przyszłość, zgodził się na Jaworzno.

Czego się nie zrobi dla miski – komentuje dzisiaj swoją decyzję. Ale nie żałuje, nigdy nie żałował, że poznał Jaworzno.

Do pracy przyjmował go jeszcze naczelnik Morel, a rozmowę przeprowadzał z jego zastępcą do spraw politycznych Franciszkiem Piątkowskim. Dzisiaj niewiele pamięta. Puka się w aparat słuchowy: - Już nie ta pamięć i nie ta głowa co kiedyś...

Jerzy W. zawsze pracował jako wychowawca, a w Jaworznie znalazł się w nagrodę. Z zakładu karnego w Szczypiornie wybrano trzydziestu najbardziej „podatnych” wychowawców i zaproponowano im lepsze warunki w nowym, eksperymentalnym więzieniu. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie miał nawet czasu przekazać wiadomości do domu.

Spodziewałem się przygody – przyzna, i doda, że Jaworzno musiało budzić pozytywne wrażenia swoim wyglądem.

Piękny teren, zieleń, las. Dzisiaj, kiedy wspominam Jaworzno, widzę przede wszystkim siebie w pierwszym dniu. Jeszcze nie wiem co będę robił, ale wielki obszar więzienia zapowiada że znajdę tutaj pracę na długie lata.

LIGA DO WALKI Z KOMUNĄ „Wisiałem na hakach, strasznie katowali...”

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 19/92 r.)

Kazimierz Koźniewski: - „Co sędzę o więźniach w Jaworznie? To byli bardzo wartościowi młodzi ludzie. Dlatego wartościowi, że w zamęcie lat 1945 - 49 chcieli mieć swoje własne zdanie. To było w ogóle świetne pokolenie - i ci, którzy szli do lasów, i ci, którzy szli do partyjnego związku młodzieży. Ale wśród nich wielu się wykolejało, „las” w latach 1946 - 49 to było już pogranicze bandytyzmu, a to dlatego, że w tym kierunku spychały ich warunki wojny domowej. Każda zawsze partyzantka, każdy zawsze „las”, tak jak każda konspiracja - wykoleja ludzi. Problem Jaworzna - to również problem demoralizacji konspiracyjnej.”

„A propos jeszcze tego, co o Jaworznie mówią jego byli więźniowie. Człowiek, który wpada pod tramwaj – przeklina, jeśli przeżyje, komunikację tramwajową. Ale dla milionów ludzi jest ona wspinałym udogodnieniem życia. O tramwajach mogą prawdziwie mówić ci tylko, którzy rzadko tramwajami jeżdżą i nigdy pod nie nie wpadli. To samo jest z oceną i więzień w ogóle i Jaworzna w szczególności.”

Rozmawiałam z więźniami Jaworzna, żaden z nich nie był w lesie, nie byli w partyzantce, nie wylapano ich z uzbrojonych oddziałów, zachowane dokumenty również nie świadczą o tym, że utworzone Więzienie Progresywne nie było reakcją na świetnie zorganizowanego przeciwnika w wojnie domowej.

„Partyzantów” najczęściej wybierano ze szkół i to ze szkół średnich. Szkoły zawodowe nie były tak czujnie obserwowane, choć i tam wylęgały się zastępy wrogów. Uczniowie w chwili aresztowania mieli przeważnie po siedemnaście lat, mieli powiązania z harcerstwem, pochodzili z inteligenckim domów,

przyjechali w ramach repatriacji ze wschodu. Pracowicie oczyszczano szkoły z najbardziej wywrotowego elementu.

Dużą rolę w tym dziele odegrali aktywiści młodzieżowi z ZMP.

Obrońcy Jaworzna mówią - to nie były dzieci. Po Wronkach. Rawiczu, Strzelcach Opolskich nikt już nie był dzieckiem, ale kiedy ich zabierano z domu, większość nie miała ukończonych osiemnastu lat!

W chwili aresztowania Szczepan Pogodziński skończył 16 lat. Ryszard Gisterek 17, Zdzisław Kasiarz 17. Zbigniew Pawłowski 17, Tadeusz Gojawiczyński 17, Wojciech Machulik 17, Andrzej Kozłowski 18...

„Wszystko mogło być powodem aresztowania” - mówi Szczepan Pogodziński, dzisiaj magister inżynier – leśnictwa i magister ekonomii, „a powiedziano mi, że na zawsze zostanę wózkowym w jaworznickiej kopalni.”

Aresztowany 17 września 1950 roku. jako uczeń X klasy Liceum Ogólnokształcącego w Myśliborzu, województwo Szczecin. (Na wolność wyszedł 10 lutego 1953 r., na mocy amnestii z 1952 r.) Oskarżony, między innymi z art. 86 kodeksu karnego Wojska Polskiego i dekretu z dnia 13 czerwca 1946 roku o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa.

1 września 1950 roku rozpoczęto naukę pod hasłem: „Będziemy walczyli o wychowanie nowego człowieka”.

Szczepan Pogodziński: „Cierpimy na niedosyt opisu, naszego pokolenia. A przecież to właśnie my byliśmy prawdziwymi dziećmi wojny. Wojna nam zabrała najwięcej. Byliśmy hardzi, wewnętrznie niezależni. Aresztowanie było dla nas tragedią, ale i przygodą. Potem okazało się, że była to jednak tragedia, przygoda skończyła się szybko.

Chcieliśmy kontynuować bohaterskie przygody naszych ojców - na długo zrobiono z nas przestępców, o których czynach mówi się szeptem i ze zgrozą...”

„Czyn” szesnastoletniego Szczepana i jego kolegów, polegał obok innych działań do przynależności do konspiracyjnej organizacji niepodległościowej „Młodzi Andersowcy”. Snuli

plany przekroczenia granicy, rozmawiali o niepodległości i metodach NKWD i UB.

Niektórzy z nich pochodzili z Kresów Wschodnich, i ci znali z autopsji co może nastąpić pod rządami władzy ludowej. Kolportowali ulotki o treści: „Rodacy – hurra na Kreml” i „Niech żyje 3-ci Maja”. Sprawili solidne lanie przewodniczącemu ZMP w klasie. Usiłowali dokonać napadu z rewolwerem, który był własnością Szczepana, na funkcjonariusza UB. Prowadzili działania zmierzające do rozbijania ZMP od wewnątrz.

Szczepan, wraz z kolegą Jankiem, próbowali przekroczyć granicę w okolicach Zakopanego. Przetrzymywano go w piwnicach zakopiańskiego i pyrzyckiego UB trzy pełne miesiące. Piwnica miała około 10 metrów kwadratowych. Siedział w niej do 15 osób. Z przesłuchań wielu wracało z trudem na własnych nogach.

Przekonał się, jak trudno być bohaterem w kraju, gdzie od pięciu lat panuje władza ludowa. Wyrok zapadł 18 stycznia 1951 roku, dostał cztery lata.

Tego samego dnia wydano wyrok na święto 3-ciego Maja, które odtąd, według ustawy, stało się świętem zakazanym.

Siedmiu byłych więźniów Jaworzna reprezentuje roczniki od 1930 do 1936 roku. Wszyscy skazani za działalność polityczną. Wszyscy zabrani ze szkół. W aktach oskarżenia wpisywano im: „zawód” – „uczeń”.

Większość należała do harcerstwa. Wszyscy byli bici podczas śledztwa w Urzędach Bezpieczeństwa. Wyroki – od trzech do siedmiu lat. Więźni - Wronki, Rawicz, Strzelce Opolskie, Katowice.

„Jesteśmy dopełnieniem świetlanego obrazu młodzieży polskiej” - mówią. „Nasza historia to biała plama. Nigdzie nie udało mi się dowiedzieć, ilu nas wtedy zabrano ze szkół. Kim byliśmy? Skąd się nas wzięła taka masa w Jaworznie?”

Sołżenicyn: „Młodzież siedząca w celach więziennych za politykę - to nie jest nigdy młodzież przeciętna. Zawsze są to ludzie, którzy wysforowali się daleko do przodu...”

„Kurier Szczeciński” 23 lutego 1949 roku: „Czarna Maską przyjmuje przysięgę. Zakonspirowana „piątka” w Kamieniu

Pomorskim. Członkowie nielegalnej organizacji skazani na długoletnie więzienie!”

Wojskowy Sąd Rejonowy, z przewodniczącym płk. Stojanowskim. Wojskowym prokuratorem rejonowym mjr Kaniewiczem oraz dwoma ławnikami wydał wyrok na członków nielegalnej młodzieżowej organizacji, mającej na celu obalenie przemocą ustroju Państwa Polskiego.”

„Prowodyr” Mieczysław Malczyk, lat 19, dostał dziesięć lat Andrzej Kozłowski. lat 18 - siedem lat, szesnastoletnia Zenobia Kempa i Alfreda Matoszko po dwa lata w zawieszeniu. Płk. Stojanowski ukarał również dwóch dorosłych, czterdziestoletnich mężczyzn, którzy wiedząc o istnieniu organizacji Narodowy Front Młodzieży Polskiej, nie donieśli władzy. Byli to krewni jednego z oskarżonych. Dostali po dwa lata.

O nazwie tego niby naszego związku dowiedzieliśmy się dopiero na sali sądowej - wyjaśnia po raz pierwszy od wielu lat Andrzej Kozłowski. Oficerowie śledczy musieli się wykazać, musiała być organizacja i wrogie imperialistyczne ośrodki zagraniczne. – W istocie chodziło o zastęp harcerski. Spotykali się na ogniskach, organizowali rajdy

Mieczysław Malczyk był instruktorem harcerskim. Uczyl ich obrzędowości, przekazywał harcerskie tradycje. Nagle, pod koniec 1948 roku cały zastęp, aresztowano, dwanaście osób.

Zarzucono im kierowanie się „ONR-owską ideologią Dmowskiego”. o czym również pisał „Kurier”. Bandyta Kozłowski - informowała gazeta – organizował szajkę gotową na wszystko na jeden rozkaz Czarnej Maski, pod którą ukrywał się prowodyr przedsięwzięcia. Stanisław Malczyk.

W rzeczywistości byłem zastępcą zastępowego - spokojnie komentuje Andrzej Kozłowski. (Po dwóch zawałach, z rozrusznikiem serca, należy uważać na emocje.) - Byliśmy harcerzami, wytypowano nas na pokazową rozprawę z harcerstwem, jedną z wielu w tym czasie. Stąd takie wysokie wyroki, bezwzględne śledztwo.

Niczego im nie oszczędzono. Najpierw piwnice UB w Kamieniu Pomorskim, potem w UB na Małopolskiej w Szczecinie.

Temat katowania podczas śledztwa omawiamy ogólnie. To się zawsze będzie powtarzać, nocne przesłuchania, brak wody i jedzenia, „konik Andersa” na który sadzano ich na przemian z AK-owcami z Wileńszczyzny.

AK-owców bito nieludzko, a jednak oni, starsi od nas, mieli wpływ kojący. Zapamiętałem zwłaszcza jednego z nich, Grundmajera od „Łupaszki”. Za wszelką cenę staraliśmy się utrzymać go przy życiu, tak strasznie był torturowany. Był wyjątkowo dzielny i dobrym człowiekiem. Kiedy tylko mógł, podtrzymywał nas na duchu. Andrzej Kozłowski mimo śledztwa nie przyznał się do winy. – „Z chłopięcej przekory” - ocenia to dziś.

Nic to nie dało. A kto się przyznał, mógł chociaż liczyć na przespaną noc. Zaraz po wyroku wysłano go do Wronek.

Była to makabra nie do opisania. Powojennym Wronkom należy się osobna opowieść, trudno skwitować ten czas kilkoma słowami. Andrzej Kozłowski trafił do tego więzienia kiedy rządy sprawowali nie zawodowi strażnicy, ale „pośmieciuchy”.

Najgorszy element wśród kryminalistów. Nienawiść kryminalnych do politycznych była powszechna i zagrażająca przetrwaniu. Kto przeżył, ówczesne Wronki, był cieniem człowieka. Kiedy przywieziono go z grupą innych młodych więźniów do Jaworzna, lekarz krzyczał, że przywieziono samych „muzułmanów”, którzy do niczego się nie nadają. – Dziwię się, że żyjesz - powiedział do Andrzeja Kozłowskiego.

Gojawiczyńskiego i Wojtasika z drugiej klasy technikum hutniczego w Gliwicach, zabrano wprost ze szkoły.

24 lutego 1948 roku. środa, początek pierwszej lekcji. Do klasy weszła sekretarka dyrektora i poprosiła o zwolnienie z zajęć dwóch uczniów. Bez jednego słowa prowadzi ich do gabinetu dyrektora, który wyraźnie się czegoś boi. Każe im podać nazwiska, przygląda się chwilę swoim uczniom i każe wyjść.

Na schodach czekali panowie: - Który Gojawiczyński, który Wojtasik? Kajdanki i do samochodu.

Śledczy wyglądał na zadowolonego, prawie zakończył swoją pracę. Tadeusz, lat wtedy siedemnaście, podejrzwał tytuł ak-

tówki, którą śledczy przynosił na przesłuchania. „Liga do Walki z Komuną”. „Agenturalne rozpracowanie bandy Żbika.”

Jest to tytuł, który wrzyna się w pamięć. Tadeusz Gojawiczyński nigdy go nie zapomni, tak wydał mu się straszny i bez sensowny. Nie było żadnej Ligi. – „Co robiliśmy? Do naszej grupy należało dziewięć osób. Wszyscy urodzeni we Lwowie albo w jego okolicach. Prowadziliśmy dyskusje, pisaliśmy ulotki o tym, co wiemy o Związku Radzieckim, o Stalinie, o komunizmie. Pisaliśmy na przykład „Katyń – zbrodnia bolszewików”, i właśnie takie ulotki znaleziono w naszych mieszkaniach. Przyjechali zrobili rewizję i nie było co cyganiec. Oczywiście, nie byliśmy Ligą, byliśmy grupą przyjaciół, bardziej życiowo doświadczoną od naszych rówieśników. Wydawało się nam, że naszym obowiązkiem jest dzielić się tym, co widzieliśmy i przeżyliśmy.

Gojawiczyński urodził się na Łyczakowie, w rodzinie przedsiębiorcy budowlanego. Dziadek był powstańcem 1863 roku. W domu panowały silne tradycje patriotyczne. Kiedy zaczęły się wywózki i zabrano wszystkich krewnych, w tym teściów pisarki Poli Gojawiczyńskiej. Ojciec Tadeusza po raz pierwszy się załamał. Tadeusz dobrze zapamiętał strach ojca przed Armią Czerwoną. Byli już niemal gotowi do wywiezienia, kiedy przyszli Niemcy, udało się im ocalać.

„Wtedy, w 48 roku wzięli nas z donosu. Najpierw Zbyszka Czechowicza. Najstarszego, potem resztę. Śledztwo przesiedzieliśmy w piwnicach gliwickiego UB na Powstańców 10. Nie ukrywałem tego, co robiłem w szkole. Powiedziałem im, „tak, pisałem ulotki Katyń to zbrodnia bolszewików.” Bili nas, oczywiście. Ale więcej znęcali się nad młodymi Ślązakami, których oskarżono o sabotaż. Dosypywali piasek do skrzynek maźniczych kół kolejowych w węglarkach, które szły w stronę ZSRR. Czasem myślę, co się stało z tymi sympatycznymi chłopcami, młodszymi od nas.”

Rozprawy sądowej doczekali się w gliwickim więzieniu. Spodziewano się bardzo surowych wyroków, mimo że drogo opłacony mecenas Talar walczył jak lew. „Kontrewiucjonista, spiskowiec i zaprzędaniec” uczeń Gojawiczyński, dostał pięć lat, Czechowicz „Żbik” – dziesięć. Wyrok zapadł 12 maja 1949

roku. Tego samego dnia powołano Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

„Tylko dzięki młodemu wiekowi nie staniecie przed plutonem egzekucyjnym” - grzmiał wojskowy sędzia.

Po dwóch latach więzienia we Wronkach, skrajnie wyczerpany najgorszą pracą w pralni, przewieziony został do Jaworzna.

I on miał w pamięci postać Grundmajera od „Łupaszkii”, z którym los zetknął go w jednej celi. razem z innymi więźniami, o nazwiskach zaczynających się na literę „G”.

Do Jaworzna jechał pełen nadziei, był pewien, że nigdzie nie może być gorzej niż we Wronkach.

Chodziły słuchy, że zabiorą ich na wojnę z Koreą. - Wszystko, wszystko jest lepsze od Wroniek...

Nawet kolejowy wagon do przewożenia więźniów wydał mu się piękny.

Zdzisław Kasiarz w 1948 roku chodził do IX klasy Państwowego Gimnazjum Męskiego im. św. Jacka w Katowicach. Należał do 22 Drużyny Harcerskiej, im. A. Małkowskiego. Siędmnastolatek daleko za sobą pozostawił dzieciństwo, z lat wojny pozostała mu pamiątka: „Zaświadczenie Weryfikacyjne: Kasiarz Zdzisław, pseudonim „Samson”. Służba wojskowa. AK w latach 1943 - 45. DH „Szare Szeregi”. Po przeszkoleniu pełnił funkcję łącznika, kolportera tajnej prasy, „Mały Sabotaż”. Odznaczenia: - Krzyż Armii Krajowej.”

Zabrano go we wrześniu 1948 roku, łącznie z przypadkowym kolegą, który do harcerstwa nie należał, a jedynie nie zauważając eskorty, powiedział mu „cześć”. Pechowca przyłączono do całej grupy i przesiedział tyle lat co inni. - Czy myśmý rzeczywiřcie konspirowali?

Zastanawia się dzisiaj posiwiaty, ale wciąż o sportowej sylwetce mężczyzna. - Pewnie tak. na miarę sił. Widać, że nie przywył do takich wyznań. Trzyma w rękach swój dziennik z tamtych lat. Woli sam odczytywać fragmenty wybranych wspomnień: „Dziř u Bolka. Rozlepianie ulotek, ile jeszcze tego będe musiał rozlepić?”

„Dzisiaj dostałem od komendanta „belgijkę” - FN 6.35. Mamy więc Polską Tajną Armię Wyzwoleńczo – Demokratyczną. Boże, dodaj sił.”

„Byliśmy grupą niedorośłych zapaleńców, nie byliśmy w stanie ocenić sytuacji”.

Przetrwiał śledztwo w katowickim UB i na damskim pawilonie katowickiego więzienia. Śledczy traktował ich z pewną oględnością, jaka należy się nieboszczykom. Znaleziono dokumenty na ich nazwiska, stwierdzające, że są funkcjonariuszami MO...

Co się czuje, mając siedemnaście lat i niemal pewność, że się zginie? Nie wierzy się w to. Zresztą, zdążyłem się przyzwyczaić. Przyjechałem z Warszawy, tam konspirowałem mając dwanaście lat, i też nie była to zabawa. Po pewnym czasie śledczy przyniósł wiadomość, że dostaną po piętnaście lat. Ktoś wysoko wyraźnie utracił sprawę, nigdy nie dowiedzieli się kto, tak jak nie dowiedzieli się, kto ich wydał. W końcu śledczy doniósł o rzeczy niewiarygodnej, prawdopodobnie dostaną zaledwie sześć lat. – „Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze dostanę order” - pochwalił śledczego Zdzisław. Dostał w twarz.

Prokurator długo uzasadniał konieczność wymierzenia najwyższego wymiaru kary. Zarzuty były naprawdę poważne: „Zdzisław Kasiarz od marca 1947 roku do września 1948 roku był komendantem „piątki” Polskiej Tajnej Armii Wyzwoleńczo - Demokratycznej. Posiadał dokumenty stwierdzające, że jest pracownikiem Konsumu MO”. Dostał jednak rzeczywiście sześć lat.

We Wronkach siedział od stycznia 1950 roku do maja 1951 r. Stamtąd do Jaworzna przywiózł gruźlicę włóknistą i przekonanie, że wszystko co najgorsze może się jeszcze zdarzyć.

Zbigniewa Pawłowskiego. wtedy szesnastolatka, zabrano wprost z internatu gimnazjalnego w Zielonej Górze. Był luty 1951 roku.

„Dużo wiedzieliśmy, dużo słyszeliśmy. Przyjechaliśmy z Kresów. Nasze rodziny wywiezione. Mój ojciec ukrywał się za Rosjan i za Niemców. Sienkiewicza znaleźliśmy na pamięć.

Spotykaliśmy się, młodzież była wspaniała, dojrzała. Naszym odruchem samoobrony na to, co się działo, była tradycja skautowska. Wzięli nas w nocy z internatu - wszystkich zabrali, o naszych spotkaniach byli dokładnie poinformowani."

Okazało się, że już od dłuższego czasu byli solą w oku szkolnego aktywu. Przesiedział dziewięć miesięcy na UB w Zielonej Górze, co streszcza:

„Szykany, karcery, zalewanie wodą. W każdą noc śledztwo, w dzień nie wolno spać. Karmienie sianem spleśniałym, można by długo opowiadać, każdy dzień inny i taki sam”...

Wojskowy Sąd Rejonowy, przewodniczący asesor por. Cieślak Stefan oskarża Zbigniewa P

Pawłowskiego, z zawodu ucznia, szkolnego, iż od września 1950 roku do 27 lutego 1951 roku, brał udział w zebraniach porozumienia, podczas, których rozpatrywano zagadnienie zdobycia broni przedstawiano w fałszywym świetle międzynarodową sytuację polityczną, prowadzono działalność antypaństwową, drukowano antyustrojowe ulotki, i werbowano nowych członków.

Wyrok zapadł 30 listopada 1951 roku. Dostał sześć lat. 18 listopada Zarząd Główny ZMP ogłosił uchwałę o zwiększeniu czujności i jeszcze lepszej pracy aktywu szkolnego.

Mimo wysiłków aktywistów z zielonogórskiego gimnazjum, na ogłoszenie wyroku przyszło bardzo dużo młodzieży. Na atak prokuratora: „Siedzący na ławie oskarżeni są podatną i ponętną pożywką dla szpiegów, dla obcego wywiadu. Na ich braku wiary w siłę klasy robotniczej, nacjonalistycznym odchyleniom, klerykaliźmie, żeruje wróg klasowy, żeruje agentura imperializmu...”

Młodzi odpowiedzieli w prostym języku; „Do mazura stań wesoło, buntownicza wiaro...” Oskarżeni znowu wiedzieli więcej niż ich koledzy. Czas przygody się skończył, wśród tych, którzy przyszli na proces, znajdzie się kilku, notujących w pamięci nazwiska śpiewających.

Brak skruchy oskarżonych dał władzom bezpieczeństwa do myślenia. Siedział już po wyroku w zielonogórskim więzieniu, - kiedy zaczęto przygotowywać nową sprawę przeciwko niemu, chociaż z tego samego artykułu. Uważano, że „się wy-

winał”, dostał za mało. Na szczęście do sprawy nie doszło. Zabrano ich z Zielonej Góry do Sieradza, stamtąd do Potulic i na koniec do Jaworzna.

A ja nigdzie nie należałem – przyznaje Ryszard Gisterek. Jak miał należeć: w czasie wojny do obozu w Oświęcimiu dostało się dwóch jego braci. Jeden zginął, drugi umarł po dwóch miesiącach od powrotu z obozu. Siostra uciekła z transportu, wiozącego ją na roboty do Niemiec. Złapana, wywieziona powtórnie, zginęła pod Stuttgartem. Został tylko on jeden. Przyśiągł matce, że nie będzie się narażał, że będzie żył spokojnie.

Kiedy zabierano go z domu w marcu 1950 roku, nie miał jeszcze ukończonych osiemnastu lat. Nigdzie nie należał, tak jak obiecywał matce, ale do ZMP również nie. Zresztą na nie się to nie zdało, wyglądał jak ucieleśnienie młodego partyzanta, jakby należał.

„On mi wygląda, że konspiruje” – powiedział sąsiad - Ormowiec, który podał go do Urzędu Bezpieczeństwa.

W więzieniu sporządzono rysopis Ryszarda Gisterka: „Postać - silna, twarz - zdrowa, podłużna, włosy gęste, ciemne, miękkie. Oczy - zielone.”

Milicja od razu uwierzyła, że Gisterek nie spędza wieczorów czytając matce na głos. Ormowiec przekonywał, że tak wyglądali w czasie wojny AK-owcy, że ten młody na pewno konspiruje, na pewno knuje, a teraz, jeśli go nie wezmą, to zabije ormowca z zemsty za odkrycie.

Ryszard Gisterek znalazł się w wadowickim UB za sam wygląd. Byłem bity tak jak wszyscy. Nawet nie wiedziałem, do czego mam się przyznać.

Sledztwo straszne, szkoda słów. Siedzieli ze mną tacy wiejscy chłopaczkowie, podczas bicia przyznawali się, potem odwoływali, i znów to samo.

24 lipca 1950 roku zapadł wyrok. - Sąd Rejonowy w Krakowie skazał Ryszarda Gisterka na pięć lat więzienia za udział w nielegalnych organizacjach i próbę obalenia ustroju państwa polskiego z art.86 § 2 w związku z ar.14 § 1 kkWP. Był to i tak bardzo niski wyrok. Nie mieli żadnych dowodów, a mój adwokat, Liebeskind, bardzo starał się mnie wybronić. Oskarżał kapitan Kiełtyka, znany ze swoich ambicji, by osiągać najwyższe

wyroki. Ale można po wiedzieć, udało się. Rodzice oczywiście się odwołali, nic to nie dało, przyszło potwierdzenie wyroku. Pojechałem do Wroniek.

Wojciechowi Machulikowi. rocznik 1936, wyrok odczytano w dniu jego 18 urodzin, 4 marca 1955 roku. Skazany został z powołaniem się na dekrety z dnia 13 czerwca 1946 roku i 26 października 1949 roku, czyli za przestępstwa szczególnie niebezpieczne w okresie odbudowy państwa, i o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej.

Skazany zostałem za szpiegostwo. Trudno o dziwniejszy wymysł. Miałem się kontaktować z obcymi placówkami dyplomatycznymi i przekazywać im tajne informacje. Jakże? Chyba o tym, co się dzieje w mojej szkole handlowej w Rybniku. Kiedyś napisałem na tablicy: „Stalinie, oddaj konie, krowy i świnie, weź swe bony, idź w pierony”.

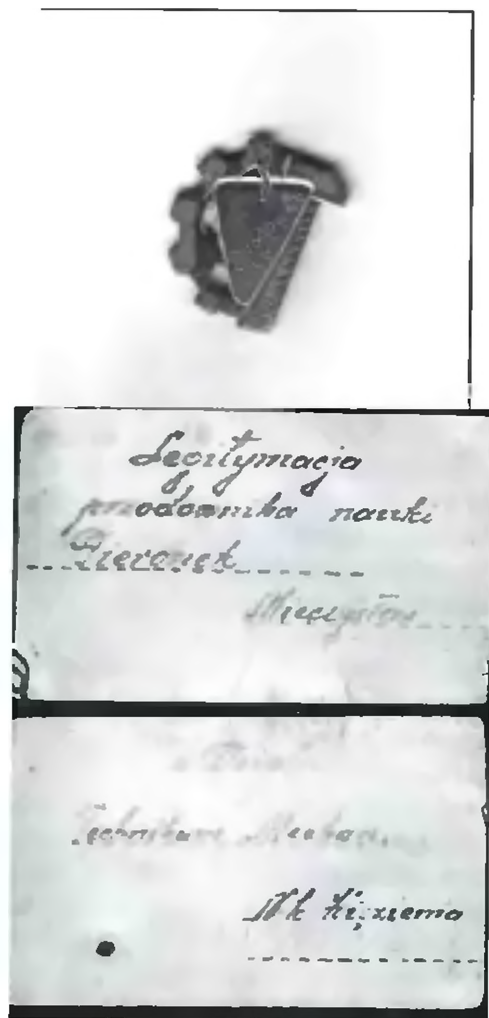
Widocznie mi to zapamiętali, chociaż wtedy nic się nie wydało. Tak myślałem, a jednak mieli mnie na oku.

Kartki zniesiono w styczniu 1953 roku.- Do tego dnia. cukier i wyroby cukiernicze były na kartki mydło i proszek do prania, mięso, również, w restauracjach, też na kartki.

Nie podobała mi się ta gospodarka. Nic więcej. Wzięli mnie z ulicy, nie pomogło mi i to, że jestem Ślązakiem, ale to nigdzie nie pomaga.

Nie mieli żadnych dowodów, ale do wszystkiego się przyznałem. Tak, szpiegostwo, niech będzie. Wisiałem na hakach, strasznie katowali, na pół osiwiła matka na rozprawie nie mogła mnie poznać.

Dostał trzy lata. Najpierw wysłano go do Rawicza, później wyładował w Jaworznie. Po zwolnieniu otrzymał zaświadczenie: „Wojciech Machulik, syn Alfreda i Elżbiety, podczas odbywania kary więzienia w Centralnym Obozie Pracy Więźniów w Jaworznie, był zatrudniony jako górnik w kopalni do dnia 27 XI 1955 roku”



Odznaka przodownika pracy oraz miniaturowa legitymacja,
uprawnijająca do jej noszenia.

Odznaka została ustanowiona na 22 lipca w 1952 roku, projektant
nie znany, wykonywali je wówczas Jerzy Śliwiński i Stanisław Le-
śniak. Dar Mieczysława Pieronka dla Izby Pamięci Szkoły Nr 5
w Jaworznie. Na legitymacji słabo widoczny podpis naczelnika Ję-
drzejewskiego.

WIĘZIENNE PAŃSTWO

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 20/92 r.)

„Partyzanci”, „groźni wrogowie ustroju”, „spiskowcy”, „bandyci uchwyceni z bronią w ręku” - najczęściej uczniowie i harcerze, zwłaszcza harcerze. Naiwnie przekonani, że poprzez konspirację i kult swoich przedwojennych ideałów, odmienią bieg historii.

Najlepsi uczniowie skazywani na długoletnie więzienia. Co mogło bardziej przerazić społeczeństwo? Wszystkie listy, pisane do Bieruta pozostawały bez odpowiedzi.

W kwietniu 1950 roku Bierut każdemu odpowiadał: „Czego pragną miliony robotników i chłopów, pracowników umysłowych i rzemieślników, uczonych i artystów? Pragną pokoju. Chcą budować nowe życie, kształcić wychowywać w radości młode, dorastające pokolenie budowniczych Polski Socjalistycznej, Polski wymarzonej przez pokolenia polskich rewolucjonistów, przez najlepszych Polaków.

I dlatego miliony zwalczają i zwalczać będą zajadłych wrogów Polski Ludowej, szkodników, dywersantów i wszystkich, którzy stawiają na nową wojnę. Dlatego też milionom ludzi pracy w Polsce, mężczyznom i kobietom, dzieciom i młodzieńcom - coraz bliższy jest braterski Związek Radziecki - ostają pokoju, twierdza socjalizmu, nadzieją wszystkich uciśnionych”.

Pierwsi więźniowie młodociani przybyli do Jaworzna w maju 1951 roku. Kadra nie mogła ukryć zaskoczenia tak masowym przyjazdem młodzieży. Kapitan Zdzisław Jędrzejewski zanotował:

„Tak szybki napływ młodocianych zaskoczył poniekąd administrację wiezienia, która nie potrafiła z miejsca zastosować właściwych metod wychowawczych”.

Chodziło zwłaszcza o to, że: „solidaryzm” więźniów, wyrosły na tle nieufności do administracji, a przywieziony z poprzednich zakładów, zasygnalizował konieczność podjęcia walki z tymi zjawiskami. Naczelnik stwierdzał, że nowi więźniowie są bardzo inteligentni, ale równie silnie zdemoralizowani i urzeczeni mitem konspiracji, wymierzonej przeciw w jej najżywotniejsze interesy.

Transporty wysiadały na dworcu w Jaworznie - Szczakowej, skąd do obozu jest prawie dziesięć kilometrów. Szli pieszo i kiedy nareszcie stanęli przed bramą, kiwali się jak pijani. Nie mogli ustać na nogach. Wojskowy lekarz po raz pierwszy i jedyne przebadał ich dokładnie. Orzekł, że przede wszystkim - nadają się do Tworek.

„Bądź człowiekiem!” „Stój jak człowiek!” Takich słów nigdy nie zapomni Andrzej Kozłowski, w taki sposób odzywał się funkcjonariusz do więźnia w Jaworznie.

We Wronkach byłoby to niemożliwe, należało odwrócić się do ściany twarzą i podnieść ręce. Przez trzy lata pobytu we Wronkach Andrzej Kozłowski nauczył się, że więzień nie jest człowiekiem. Tutaj po paru tygodniach dostał widzenie z matką, można było wyjść z celi na korytarz, pisać listy.

Na początku Jaworzno rzeczywiście wydawało się inne od zwykłych więzień. Wciąż jeszcze byliśmy zszokowani, strażnicy musieli nam przypominać - „nie jesteś we Wronkach, tu jest Jaworzno”. „Zrobimy wam małą Polskę. - To będzie Polska w miniaturze, żebyście nauczyli się żyć na wolności”, powiedział im łaskawie wychowawca. „Wychowujemy was dla przyszłości”.

Zdzisław Kasiarz:

„Naczalstwo było nie przygotowane na taki zalew charłactwa. Dopiero szykowali się na nasze przyjęcie, ale wszystkie więzienia były tak bardzo przepelnione, że na pierwszy znak z Jaworzna, przysyłano nas bez końca. Całymi masami. Okropny widok, te ledwo poruszające się ciała. - Ja sam przeżyłem „wykańczalnię” we Wronkach, czyli pralnię. Miałem gruźlicę. Zresztą gruźlica była powszechna i to było widać. Trzeba nas było najpierw leczyć, ale żadnych lekarstw nie było. Dieta i łóżko, i do pracy. Muszę zbadać, ilu z was żyje - psioczył le-

karz na widok następnego transportu. Wszystkim nowym Jaworzno wydawało się pięknym miejscem, bo nie było Wronkami."

Szczepan Pogodziński:

„Po naszych przejściach nic już nie było szokujące. Również i ten wielki obszar, to więzienne państwo, gdzie ochłapy swobody były tylko przynętą. Byli tacy, którzy dali się na to złapać, ale nieliczni, bardzo nieliczni. Wychowawcy stawiali na donosicieli, było to oczywiste. Niektórzy znaleźli się przecież w Jaworznie za „nie doniesienie władzom”, donos był obywatelskim obowiązkiem.

Wincenty Pyka:

„Był też aparat donosicielstwa, ukrywający się pod wdzięczną nazwą - „komisja współzawodnictwa”. Byli w niej więźniowie, którzy „zrozumieli swój błąd”, zdradzili swoje ideały i kolegów, przeszli na stronę wroga.”

Gazetka obozowa „Błyskawica”: „Tu Komisja współzawodnictwa. Grupa Kaźmierczaka z prefabrykacji podjęła zobowiązanie przedzjazdowe. A ty co? Czy pomyślałeś jak uczcić Złot Młodych Przodowników Pracy, Przeczytaj i oddaj drugiemu?”

„Pilnowali nas ludzie z karabinami, strażnicy z psami śledzili każdy krok. Byliśmy jak starcy pozbawieni nadziei. Tylko dzięki rozmowom mogliśmy jakoś wytrwać.”

Józef Półćwiartek:

„Ale jakże krzepiące były rozmowy z wypróbowanymi kolegami, konspirowanie w więzieniu, zbieranie sił moralnych na przyszłość. Do dziś utkwilo mi kilka nazwisk, tych, którzy krzepili mnie rozmowami. W większości to ludzie z moich stron rodzinnych, to Janek Michno spod Łańcuta, Jan Prokopczuk i Tadeusz Nowak - obaj ze Strzyżowa, ale też i Józef Pełka z Rudy Śląskiej czy Franek Różycki spod Andrychowa. Dzięki takim można było wytrwać w najgorszym”.

Wszyscy byli więźniowie pamiętają dzisiaj tylko nazwiska ludzi, dzięki którym można było wytrwać.

Funkcjonariusze o więźniach:

„Kochaliśmy Stalina. Dla nas był wszystkim. Kochaliśmy Bieruta. - Byłem szczęśliwy, że z wrogów mogę uczynić mło-

dziutkich sojuszników. Chciałem im pomóc w znalezieniu słusznej drogi, którą sam szedłem, i w którą wierzyłem. Dla mnie wszystko było jasne i piękne. A oni chcieli brudu, wojny, zgnilizny. Tak wierzyłem. Poświęciłem im wiele. Czas, entuzjazm. Pięć lat wspólnego zamknięcia. I co? Pytam, co? Nic."

"Nic to nie dało" - Henryk J, po raz pierwszy zdobywa się na takie słowa wobec swoich towarzyszy.

Panowie czują się nieco zawiedzeni. Przyszli tylko po to żeby wspominać swoją młodość, miało być miło, przyjemnie...

"Jak to nic nie dało!" - wybucha Jan K. - „Co ty opowiadasz tutaj za bzdury. Ja mam satysfakcję."

"Tyle pracy, a kierunek wypaczony" - ciągnie Henryk J. Nie wiem, czy to prawdziwa refleksja, czy tylko przeznaczona dla mnie, dla moich notatek.

A jednak oburzony Jan K zabiera się do wyjścia. - „Kto jaki był, taki został, Janku. Obudziliśmy się a ręką w nocniku." Panowie wzruszają ramionami, na pomoc Janowi K. rusza Jerzy W.

"Ja także mam satysfakcję i nie dam sobie tego odebrać. Bo inaczej, to kim bylibyśmy? Nawet nie mów. Słuchaj, a kto im przybliżał kulturę? A kto pisarzy zapraszał nie pamiętasz? A teatr? W jakim więzieniu był teatr? A pamiętasz, jak ten aktor Leśniak przyjechał fachowym okiem doglądać nasze przedstawienia?"

"Co myśmy im tam wystawiali? Zaraz: „Przygody bumelanta", wiersze o Stalinie, co to było? Same śmiecie?" Jerzy W. milknie. - „Rozmawialiśmy o książkach." „Z więźniami, o książkach, sam wiesz, jak chętnie słuchali. - Nawet kapitan Jędrzejewski pochwalił ten pomysł: „Dobre wyniki dawały pogadanki z zakresu literatury polskiej, obrazujące postępowe tradycje naszego piśmiennictwa. Wielu więźniów po raz pierwszy dowiadywało się o rewolucyjnej działalności poszczególnych pisarzy, których poglądy widzieli dotąd w zupełnie innym świetle."

"Nie wierzyłem im nawet na moment. To byli bandyci!" - broni swojego honoru Jan K.

- „Bandyci? Czy ja wiem?” - rozważa przez chwilę Stanisław Ł. i wywołuje z pamięci pewien incydent:

„Przeglądałem kiedyś akta więźniów, takich szczególnie ztwardziałych. Czytam: „Groźny”, przywódca bandy. Składał przysięgę”. No, tego trzeba będzie od razu rozminować.”

Wywołuję z oddziału. Wchodzi. Siedemnaście lat. Metr pięćdziesiąt wzrostu. Chudy jak żrebak. Ty jesteś „Groźny” pytam? Jeszcze nie, mówi - ale na pewno będę. Co to za „groźni” byli? Inni tacy sami.”

Jan K. unosi się: - „Siedzieli za niewinność, tak? Lewicki siedział za niewinność, tak?” Panowie patrzą po sobie.

„To ty nie wiesz?”

„Wiem. że był szpiegiem!”

„On nie wie!” - wykrzykują - „uchował się!”

„Jak Lewicki był szpiegiem, to ja jestem tatarski kogut” - mówi Henryk J. „Przecież to prokurator mu żonę zabrał. Sliczna dziewczyna, i pozbył się chłopaka. Czy to takie trudne dla niego było? On wtedy wszystko mógł.”

Jana K. przygwoździło do krzesła.

„Mam takie dziwne wspomnienie,” przerywa Henryk J. „Było to w latach sześćdziesiątych, a więc jeszcze w całkiem innych czasach. Spotykam na dworcu w Gdańsku jednego z nich. Poszliśmy na kawę, nawet pociąg przepuściłem, żeby dowiedzieć się, co u nich słychać, a on mi mówi prosto w oczy: - „Mieliśmy was za nic. Wasze gadanie nic nas nie obchodziło. Nie było żadnych nawróceń. Przedstawienia, akademie, apele, duperele. pic na wodę. Między sobą deklarowaliśmy coś zupełnie innego. Rzygać się nam na was chciało.”

„Poszedł, nie dopił kawy. Myślałem nawet, co z tym zrobić. Ale nic nie zrobiłem. Żał mi się go zrobiło, wariat”.

„Wtedy usłyszeć coś takiego to był szok” - przyznaje Jarzy W. „Ale co do mnie. to nie wierzę, że któryś w oczy by mi to powiedział. Weźmy ich fascynacje teatrem, sprowadziłem Jakubowską, żeby zrobiła eliminacje do teatru. Mówiła, że bardzo zdolni młodzi ludzie. Co wtedy pomogła wystawić, prawdziwy przebój „Poemat pedagogiczny”.

„I pisarze przyjeżdżali”.

- „Tak. ale sam wiesz, jak wszystko szybko się skończyło. Jak poszli do kopalni.”

„Brano ich z lasów z bronią w rękę!” - nie ustępuje Jan K. i z triumfem rzuca nowe nazwisko - Cybichowski!

Wybuch śmiechu, przytakiwania. Przytaczają przygodę jednego ze strażników. Cybichowskiego. W 45 przydzielono go do likwidacji band. potem przyniosło go do Jaworzna. Kiedyś zauważył, że jeden więzień kręci się, kiwa, wszyscy siedzą, a ten nie może usiedzieć. - Co ty tam skazany knujesz! - ryknął na niego, a ten, że nic, tylko że był w tylek postrzelony, zagoiło się, ale nie może siedzieć. - „A gdzie cię postrzelono” - zainteresował się Cybichowski, bo to się nie zdarza często. Cybichowski właśnie strzelił kiedyś w tylek partyzantowi, co się schował w kościele pod ławką, jak kończyli bandę AK-owców. - „Tam i tam...” Okazało się, że to ten sam. Cybich go naprawdę lubił, bodaj czy się nie przyjaźnili do końca.

- „I siedzieli towarzysze ze sprawy gryfickiej, też smarkacze. Nie siedzieli długo, ale jednak siedzieli. Robili prasówki i pogadanki, chętni do referatów.”

Uchwała Biura Politycznego KC PZPR z maja 1951 roku: „W sprawie łamania linii partyjnej w organizacji gryfickiej w województwie szczecińskim”.

„W okresie skupu zboża miały miejsca fakty całkowitego wypaczenia linii partii w sprawie sojuszu robotniczo - chłopskiego. Całkowitego wyrzeczenia się metod pracy partyjnej, zastępowanie pracy partyjnej metodami przymusu, jaskrawego pogwałcenia praworządności.” Chodziło o to, że „trójki zetempowskie” i młodzież z miejscowych POM-ów pakowała na samochód transparenty i kłonicę i jechała „rozkułaczać”. Dochodziło do dramatycznych scen. Kiedyś zetempowcy „rozkułaczyli” osadnika wojskowego, jednego z tych, co doszli do Berlina.

O tragediach w Gryficach zrobiło się głośno. Przed sądem stanął przewodniczący ZMP i jedenastu aktywistów, dostali od czterech do półtora roku. niektórzy w zawieszeniu. Swego czasu była to bardzo głośna sprawa, niektórzy „towarzyszy” uważali za męczenników sprawy. W każdym razie żaden nie odsiedział wyroku do końca. Wśród strażników i wychowawców -

byli również i tacy, którzy nie chcieli. „ze względów moralnych” pracować w eksperymentalnym więzieniu dla młodocianych przestępców politycznych... W rozmowie padają ich nazwiska:

Walczak, zwolnił się ze służby, a potem powiesił. Jego żona pracowała w Urzędzie Bezpieczeństwa. to był taki wrażliwiec. Żona z jego powodu miała poważne nieprzyjemności.

Zegar, chłopak z Rzeszowa. Ile miał lat? Młody taki. Jak zobaczył Jaworzno, zaraz chciał z niego uciekać. Uparł się, że nie. Będzie tylko dzieci uczyć. Małe dzieci będzie uczyć czytać. Pamiętasz, jak się szef wściekł. Poszedł w diabły.

Jeszcze Staszek, nikt już nie pamięta nazwiska, bo był krótko, ten wystąpił z czymś niesłychanym. Powiedział, że tylko przypadkiem nie jest po stronie tamtych, że nie jest więźniem. Że oni mają rację, pamiętacie? Że jak go natychmiast nie zwolnią, to popełni jakieś przestępstwo i będzie więźniem! Ale go szef szybko wypuścił. Więźniowie mu wychowawcę zaagitowali!

W jednym wszyscy czterej są zgodni: -Więźniowie to byli inteligentni ludzie. Niektórzy tylko „zaplątani w politykę”. Tak jak oni, też byli „zaplątani”, bo przecież bez powodu nie znaleźli się w Jaworznie. Byli wybrani z wybranych. Najbardziej oddani z oddanych. Szukano przecież takich jak oni po całej Polsce. Naczelnik Zdzisław Jędrzejewski (ciągnął swoją pracę z notatek Piątkowskiego. wprost betonowego UB-ka, któremu nie o Jaworznie nie chcieli wydrukować), gdzie teraz ten Piątkowski, nikt nie wie. Podobno w Strzelcach Opolskich, a Jędrzejewski, kto - wie, ostatnio na Mokotowie w Warszawie, więc Piątkowski zdesperowany przestał wszystko Jędrzejewskiemu i ten coś pododawał i napisał, wydrukowali w „Przeglądzie więziennictwa” - tak ocenił pracę swoich podwładnych:

„Cechuje ich bardzo duże zaangażowanie, ponadto zapal do pracy, instynkt klasowy oraz optymizm. Pracowali po 16 godzin dziennie nad szczególnie opornymi więźniami, w zarodku likwidując autorytet wichrzycieli.- Początki były najtrudniejsze. Nie wiedzieliśmy, jak do nich podejść. Sciana. Żadnego porozumienia.”

Zdzisław Jędrzejewski:

„Pierwszy transport przywiózł szczególnie zatwardziałych w swoich poglądach wywrotowców. Prowadzili oni nieustępliwą walkę przeciwko programowi, wychowawczemu reprezentowanemu przez wychowawców.”



Awers i rewers ręcznie wykonanej w Jaworznie kartki świątecznej. Wykonawcą był p. podobnie Tadeusz Lustig. Ekspонат Izby Pamięci

WIĘŹNIOWIE I FUNKCJONARIUSZE

„Kiedy się wahasz - pomyśl co by uczynił człowiek radziecki”

(Publikowany w tygodniku WIEŚCI, nr 21/92 r.)

Więźniowie o funkcjonariuszach nie mówią wiele. Nie znają ich nazwisk, nikt się im nie przedstawiał. Może sporadycznie. Ktoś pamięta Moreła, jak sprawdzał, czy szybko pracują. Wyznawał pogląd, że więzień musi odpracować swoje, musi być z niego korzyść, Zdzisław Kasiarz pamięta, że prawie mdleli przy stole wibracyjnym, wyrabiając morderczą normę, ustaloną przez Moreła. Ciągłe było mu jednak mało, wyzywał od leni, w końcu sam stanął przy stole wibracyjnym prefabrykacji. Nie wykonał nawet części normy, wytarł ręce i poszedł. Przynajmniej nie zwiększył normy i kogo innego wyzywał od bumelantów.

Nie chcą ich wspominać. Zlewają się im w jeden tłum. trudny do rozróżnienia, o jednym głosie, jakby z więziennego „kolchoźnika”.

- „Nie pamiętam nazwisk” - mówi Andrzej Kozłowski - „nie chcę ich znać. Wielu z nich było moimi rówieśnikami, byli młodzi. Nie wiem, co dzisiaj moglibyśmy sobie powiedzieć”. Tadeusz Gojawiczyński zapamiętał, że jaworznicka kadra była bardziej inteligentna niż w podobnych ośrodkach i bardzo dobrze przy gotowana do indoktrynacji. Rzadko posługiwała się prymitywnymi środkami. Wyrachowani, całkowicie dyspozycyjni, zimni - wylicza, jakby nie mieli własnego życia, tylko życie partii. Brakowało im własnych refleksji, ripost, logiki, dlatego przegrywali w dyskusjach. Ale jak porównać ich z naszymi sędziami śledczymi, o tak, to był inny poziom.

Przepaść między więźniami a wychowawcami była ogromna, większa niż między kryminalistą a jego strażnikiem. Tutaj, oprócz tych zależności, dochodziła jeszcze większa - oto naj-

lepszą część polskiej młodzieży. zdrowa gałąź społeczeństwa i kto „niedobitki wroga, chytrze rozsiane po szczelinach jego zamaskowane macki, nasłane przez imperialistów”, jak pisał Bierut, czyli część chora, godna pogardy, niebezpieczna dla ojczyzny.

Uświadamiano nam, że jeśli kiedykolwiek przydamy się jeszcze krajowi, to tylko jako najniższa warstwa, pozbawieni znaczenia, szeregowi robotnicy. Naszą przyszłością miała być fizyczna praca, nie wyobrażano sobie, że może być inaczej.

Wincenty Pyka pisał w liście otwartym do naczelnika S. Morela:

„Wodnista zupa na obiad, gotowana, całkowicie jałowa, suszona kapusta na kolację, oraz pół kilograma chleba dziennie, było naszym wyżywieniem przy bardzo ciężkiej pracy.

- Paczek żywnościowych z domu nie wolno było otrzymywać. Głodujący więźniowie odmawiali pracy. W takich przypadkach był Pan bezwzględny, skazując ich na dodatkowe udręki w karcerach.”

Kronika więzienna, str 16:

Wychowawca Henryk J. odniósł sukces:

„Parę dni rozmawiałem z więźniem, mówił o swoich planach, że pragnie zostać dziennikarzem. Żadna praca w więzieniu nie interesowała go. Rozmowy odniosły skutek. Zapiszę go teraz na kurs murarski, żeby zapoznał się praktycznie z tym zawodem.”

Wszyscy mieli zostać murarzami, kamieniarzami, ślusarzami, w końcu górnikami.

Kronika, str. 503:

„Gdy więzień powiadomił, że po zwolnieniu zamierza pozostać w górnictwie, siostra protestowała przeciwko tej decyzji.”

Naczelnik Jędrzejewski zanotował:

„Często rodziny utwierdzały więźniów w nieposłuszeństwie i uporze”.

Z kroniki więziennej, zapis oficera do spraw politycznych str. 26:

„Do więźnia G.- przybyła matka. Zrobiła na mnie przykre wrażenie. Nie pomyliłem się. W czasie widzenia jej twarz oraz

sposób mówienia wskazywały na to, że matka jego była dumna z tego, że jej syn siedzi w więzieniu”.

- Bądźmy sprawiedliwi, to było o tyle inne więzienie, że nie chodziło o to, by nas unicestwić, ale by zmienić, złamać, żebyśmy zrozumieli, czym jesteśmy wobec potęgi. Chcieli w nas zabić myślącego człowieka.

- „Kiedy się - wahasz, pomyśl co by w twojej sytuacji uczynił człowiek radziecki” - radzili nam wychowawcy z zimną krwią.

- Kiedyś podzielono się z nami tajemnicą. Po pewnym czasie, kiedy Polska zasłuży, kiedy wystarczająco się zmieni, spotka ją zaszczyt, zostanie republiką Związku Radzieckiego, częścią promieniującego szczęściem mocarstwa.

Wydaje się im, że w Jaworznie żyli tak, jakby to miało nastąpić lada dzień.

„Kto patrzy oczyma Partii, odsieje ziarno od plew, błąd naprostuje, sprawców odetnie, nazwie ich po imieniu...” Tak deklamowano na akademiach, a plewami i sprawcami byli oni. – „Kogo się nie naprostuje, tego się odetnie” – powiedział im oficer polityczny.

Niepotrzebnie. Bezsensowne były również „poligony”, jak nazywał to naczelnik Jędrzejewski, podczas których, podobno „kruszyły się poglądy nie tylko opornych, ale w jeszcze większym stopniu biernych”.

Zresztą w końcu i tak okazało się, że najbardziej skutecznym sposobem przekonywania więźniów politycznych jest praca.

Józef Półwiartek:

„Praca na prefabrykacji należała do najcięższych fizycznie. Nieznośnie wysokie normy pracy, prowadzone współzawodnictwo produkcyjne wedle stylu radzieckiego, niezwykle ostre oddziaływanie na nas systemu politycznego i „praca” kapusi. Bardzo słabe odżywianie, dopełniały beznadziejności. I te ciągle „szczekające kolchoźniki” w miejscu pracy, ten nawal informacji wciskanych nam na siłę o szczęściu w socjalizmie i o braterskiej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, o etosie pracy dla socjalistycznej ojczyzny, o humanizmie socjalistycznym.

I te częste, nieoczekiwane „spowiedzi u wuja”, podrzucanie nam różnych „kapusiów”.

„I te codzienne przemarsze w kolumnach przez bramy, druty pod prądem. Te długie w czasie oczekiwanie w kolumnach na placu. I te częste tragiczne wieści podawane sobie szeptem o wypadkach w pracy innych więźniów pracujących w kopalni „Komuna Paryska”, czy na terenie więzienia, w ślusarni lub stolarni... Ileż to młodych chłopców traciło wzrok w ślusarni przy elektrycznym spawaniu”...

Więzienie w Jaworznie na wszystkich robiło wrażenie niesamowite, niektórzy nazywają to „coś z sennego koszmaru”, „ponurą atmosferą”, „stężoną grozą”. Narzekali na klimat.

Pierwsze zachwycenie Jaworzniem po grozie Wroniek szybko mijało.

„Z tego miejsca chciało się uciekać. Wszyscy śniliśmy o ucieczce”. - Sumuje Zdzisław Kasiarz.

A przecież nie, lub bardzo mało, wiedzieli o przeszłości tego obozu, o spółce EVO. o blokowej, która lubiła swoich Niemców, o Ukraińcach, z których należało wyczyścić obóz przed przybyciem nowych więźniów.

Tego wszystkiego dowiadują się teraz, dopiero teraz. Nie dziwią się, że Jaworzno nie mogło zmienić swojego charakteru.

Zaplanowane jako nowoczesne, eksperymentalne więzienie, „największe i najnowocześniejsze w tej części Europy”, zmieniło się w to, czym zawsze było w obóz pracy, gdzie porządku pilnowali strażnicy z psami i niemieckie druty pod wysokim napięciem. Tylko nie deptany lasek porastał wonnymi fiołkami.

Józef Półciwiartek:

„Więzienie Progresywne w Jaworznie działać miało jak najbardziej przemyślnie skonstruowana maszyna wyniszczania fizycznego młodych więźniów politycznych. Przekuwania ich psychiki w zastraszonych sługusów zwycięskiego wówczas systemu zła. Ale że maszyna pracowała zbyt intensywnie, a jej twórcy zbyt spieszili się, stąd też zawyżone wyniki ideowe były niemożliwe do osiągnięcia. Jedynie najslabsi psychicznie chwilowo ulegali. Ten rosyjski system makarenkow-

ski nie mógł zdać egzaminu. Najwyżej w wyniszczaniu fizycznym.”

Takie było Jaworzno więźniów.

- Było również Jaworzno funkcjonariuszy. Najlepiej opisał je Kazimierz Kóźniewski:

„Znęcanie się psychiczne każdy chętniej znosi niż twardy regulamin normalnego więzienia. Każdy wołał, żeby się nad nim tak „zanęcano fizycznie”, ale żeby miał otwartą celę, mógł się uczyć. pracować poza terenem więzienia, mieć tę codzienną, swobodę, jaką oni mieli... Czy pani sądzi, że te było o mało? W porównaniu z innymi więzieniami to było wspaniałe! I dopiero teraz, ci byli więźniowie się skarżą, ale wtedy byli szczęśliwi, że siedzą w Jaworznie, a nie na Rakowieckiej, nie w Itawie, Strzelcach, czy gdzieś tam jeszcze. Jeżeli teraz pani co innego opowiadają - to po prostu kłamią.”

Cele były dwudziestoosobowe, nie zamykane, można było wyjść na korytarz. Okna były wąskie, miały żelbetonowe kraty, piętrowe łóżka. Każdy miał szafkę, w celach był stół. Obóz był otoczony drutami. Zdzisław Kasiarz pamięta, jak się bawiono, rzucając na druty jakieś przedmioty. Zawsze błysk ognia, Wojciech Machulik był świadkiem, jak rzucono kota, zginął natychmiast. Jaworzno było doskonale pilnowane. Nikt nie słyszał, żeby z Jaworzna ktokolwiek uciekł, wszyscy byli obserwowani.

Zdzisław Kasiarz:

„Co jakiś czas odbywało się werbowanie do UB. Wyglądało to rozmaicie, najczęściej tak, bo tak było ze mną. Wzywali człowieka na rozmowę. Byli tam już jacyś funkcjonariusze. Wychowawca mówił: - „Kasiarz. źle z wami. Śmierdzi wasza sprawa. Ale jest szansa, że możecie skorzystać z warunkowego zwolnienia. Chcecie?” „Jasne, że chcę!” - „Odpowiadajcie według regulaminu Kasiarz” - pouczał łaskawie wychowawca, po czym podsuwał świstek. - „No dobrze to podpisujcie”. - „Nie podpiszę”. - „Nie podpiszesz, kapcanie?” - „Nic nie podpiszę wiadomo”. Wtedy od stołu ruszali panowie - „nie chcesz współpracować z władzą ludową, co ci żarcie daje za darmo, co człowieka z ciebie bandyto chce robić?”

„Kiedy ja się nie nadaję do tej roboty, za głupi jestem...” - „A w mordę chcesz?” - „I szykują się do bicia, ale na to trzeba reagować spokojnie”. - „Jak mnie będziecie bić, to wyskoczę przez okno. Mnie już wszystko jedno, ja już bicia więcej nie zniosę, do was i tak nie pójde.”

Wychowawca wiedział, że z niektórymi nie da rady, i można było pójść dalej, „my was zapamiętamy, Kasiarz, dobrze zapamiętamy...” „Musieliby nas wszystkich dobrze zapamiętać. Wśród więźniów politycznych nie było donosicieli lub prawie nie było”.

To była wyjątkowa młodzież. Wszyscy się z tym zgadzają, nawet lekarz obozowy, Józef R. Mieszka do dzisiaj w Jaworznie, nadal pracuje, jest bardzo zajęty, może mi poświęcić bardzo niewiele czasu.

„Pamiętam tamtych więźniów. Było ich bardzo dużo. inteligentna młodzież. Po co wracać do przeszłości, czy to coś zmienia? Ponad trzydzieści lat, kawał czasu, już prawie nic nie pamiętam. Nie miałem z tym nic wspólnego. Chciałem stamtąd jak najszybciej odejść, tylko to miałem w głowie, uciec stamtąd. Nie byłem tam dobrowolnie, nie wiem, komu mogłaby odpowiadać taka praca.

Robiłem dyplom 1951 roku i wszyscy z mojego rocznika, jak jeden mąż, musieli pójść do wojska. To też jakaś tragedia, prawda? O tym się już prawie w ogóle nie mówi, ale dla nas, młodych lekarzy, to był dramat. - Kiedy w 1951 roku zaproponowano mi komendanturę szpitala więziennego w Jaworznie, przyjąłem propozycję. Przyszedłem z WOP-u, bo aż stamtąd mnie ściągnęli. Kiedy przyjechałem, Jaworzno było ośrodkiem represyjnym z pewnymi ułatwieniami. Ale po trzydziestu latach nie pamiętam, jak tam właściwie było. To w moim życiu przykry epizod, chociaż finansowo odczułem poprawę. Trzeba przyznać, że kadrze dobrze tam płacili. Pracowałem tylko pięć godzin dziennie. Nie miałem kontaktu ani z naczelnikiem, ani z oficerami. Z funkcjonariuszami nie utrzymywałem kontaktów towarzyskich. Rozmawialiśmy jedynie o sprawach zawodowych. Szpital, nie miał odpowiednich urządzeń ani lekarstw, aby mógł rzeczywiście spełniać swoją rolę. Ciężko chorych odsyłałem albo do Bytomia, albo do Krakowa. Ja sam leczyłem

dietą i łóżkiem, wypoczynkiem. Prawdę mówiąc, nic innego nie miałem. Nie nosiłem broni. Życie obozu nie interesowało mnie, pisałem prośby o zwolnienie mnie z wojska, Przypominam sobie, był dentysta i rentgen, bardzo wygodne łóżka. Mieli najczęściej po osiemnaste lat piętnastolatków nie spotkałem.

Kiedy przyjechał transport, myślałem, że jest to młodzież od 15 do 20 lat, ale oni tylko tak wyglądali. Byli trochę starsi, co mnie uderzyło, bardzo inteligentni, dojrzały. Ja nie interesowałem się polityką, tak wtedy było najlepiej, więc nigdy z nimi nie rozmawiałem, nie poruszałem tego tematu, starałem się, żeby kontakty były wyłącznie służbowe. Niektórzy byli bardzo zdolni

Pamiętam, że kiedyś sami telewizor skonstruowali, no takie kuriozum to poszedłem obejrzeć. Prawdę mówiąc, stali o wiele wyżej intelektualnie od funkcjonariuszy, wychowawców.

Czy chorowali? Skąd mam wiedzieć? To znaczy, tyle lat minęło... coś tam było, czysta gruźlica. Co mogłem zrobić? Nie. dajmy już z tym spokój. Gruźlica więziennictwo bardzo się bało, wołało, żebym o gruźlicy nie mówił, ale co zrobić, były częste przypadki.

Nie. nie chcę wracać do tamtych czasów, przede wszystkim dlatego, że nie miałem żadnej satysfakcji. W sierpniu 1956 roku pozwolono mi. zrzucić mundur”.

Doktor nie pyta, jak go znalazłam. Wychodzimy z przychodni, pacjenci klaniają mu się, odpowiada życzliwie. Na zewnątrz Osiedle Stałe, postawione dla budowniczych obozu, górników i pracowników elektrowni „Jaworzno II”. Do bram obozu, gdybyśmy chcieli, można dojść w pół godziny...

Józef R. decyduje się jeszcze o czymś powiedzieć, chociaż odszedł już parę kroków: - „Chcę być szczery, tam w 80 % siedzieli ludzie niewinni. Ciężko, bardzo ciężko pracowali”. Żegna się i szybko odchodzi.



Ręcznik więźnia w Więzieniu Progresywnym. Ekspонат Izby Pamięci. Identyczny – chociaż nie autentyczny.

ZACZĘTO ZWALNIAĆ POLITYCZNYCH

„Po obozie przechadzali się kryminaliści z wielkimi majchrami...”

(Publikowane w tygodniku WIEŚCI, nr 22/92 r)

Jaworzno było przede wszystkim obozem pracy. Nauka była dana nielicznym i to tylko w początkowym okresie. Na terenie obozu istniało technikum budowlane, w którym wykładali więźniowie polityczni z Montelupich w Krakowie. Poziom był bardzo wysoki, uczyli przecież wybitni fachowcy, konstruktorzy, profesorowie.

Andrzej Kozłowski:

„Kiedy przyjechałem do Jaworzna, w maju 51 roku. wychowawca zapisał mnie na kurs ślusarski. W Kamieniu Pomorskim byłem dobrym uczniem gimnazjalnym, ale nikogo to oczywiście nie obchodziło. Miałem zostać ślusarzem, dobrze przynajmniej czegoś się uczyłem. Nauka na kursach była na poziomie szkoły zawodowej. do południa nauka, po południu praktyka w warsztatach. Potem zaczęli organizować technikum. Boże. co się wtedy działo!

Wybrano z kursów wszystkich najlepszych uczniów, zorganizowano egzamin na bardzo wysokim poziomie. Dostali się najlepsi.”

Wychowawca Henryk J. przypomina sobie konstruktora najlepszego przedwojennego samolotu „Łoś”, który wykładał w technikum. Był już wtedy w bardzo złej formie, na skraju wyczerpania psychicznego.

Technikum nie było honorowane na wolności. Andrzej Kozłowski wspomina, że przyznanie się do niego było bardzo ryzykowne. Kto nie podjął pracy w warsztatach na terenie więzienia, szedł do pracy w kopalniach.

W 1955 roku zlikwidowano wszystkie kursy na terenie obozu, naczelnik Zdzisław Jędrzejewski wyraził zgodę na propozycję Ministerstwa Górnictwa, by wszyscy więźniowie rehabilitowali się pracą pod ziemią. Zorganizowany przed kilkoma miesiącami zetempowski zaciąg do górnictwa nie dał oczekiwanych rezultatów.

Wychowywanie więźniów stało się fikcją. Naczelnik notuje:

„Wychowawcy zmuszeni byli teraz zjeżdżać do kopalń i tam w niesprzyjających warunkach kontynuować swą pracę.”

Utrzymano jedynie „prefabrykację”, gdzie więźniowie produkowali materiały budowlane, tak potrzebne rozbudowie więzienia, jak i okolicznemu przemysłowi.

Zdzisław Kasiarz:

„Pracowałem na prefabrykacji przy stole wibracyjnym. Norma - 60 pustaków na godzinę. Wszyscy byliśmy głodni. Co dzień to samo: Woda, żużel, wrzucić, zamieszać, forma. Dwóch sypało, jeden skręcał. Odnieść i od nowa. Wracając z pracy przechodziliśmy koło boiska dla strażników. Zimą tam jeździła sobie na łyżwach elegancka kobieta, mówili, że to żona Morela.”

Nie wiedzieli w zmęczeniu, czy im się jawi we śnie, czy to prawda. W środku obozu tańcząca kobieta.

Wojciech Machulik:

Opis obozu: „nr 8: Małe boisko, gdzie w zimie tańczyła na łyżwach piękna kobieta, a latem na wrotkach dla więźniów politycznych.”

Słabsi nie mieli szans. Tadeusz Gojawiczyński przy stole wibracyjnym nabawił się gangreny. Włożył rękawicę i pracował w czterdziestostopniowej gorączce. Siły dodawał mu tylko strach.

„Pamiętam jak przez mgłę hasło, jakie nam wywieszono nad stołami, o rehabilitacji poprzez pracę, kto nie pracuje, ten nie je.” Traciłem przytomność, ale bałem się szykan. Dopiero ojciec na widzeniu zrobił awanturę na widok syna, który ledwo trzymał się na nogach. Zagroził, że będzie interweniował wszędzie, gdzie się da, bo w tym stanie syn nie przeżyje miesiąca. Niechętnie odesłano Gojawiczyńskiego do izby chorych,

lekarz zaaplikował mu tam zastrzyki z mleka. Gorączka miała zabić bakterie gangreny. Po tego rodzaju leczeniu Gojawiczyński jak najszybciej musiał zostać odwieziony do szpitala w Krakowie, tam okazało się, że prócz gangreny ma również i gruźlicę.

W krakowskim więziennym szpitalu leżał z innymi gruźlikami, studentem filozofii, sierżantem SS, żandarmem niemieckim, sołtysem z podkrakowskiej wsi i polskim oficerem. Wszyscy polityczni.

Jaworzno pozbywało się bumelantów i nierobów. odsyłano ich z fatalną opinią do innych więzień, najczęściej do Wroniek.

Kronika więzienna, str.77:

"Więzień- H., zatrudniony na prefabrykacji był bumelantem i nierobem. Po umieszczeniu jego karykatury w gazetce radiowej, przystąpił do wykonywania pracy ponad normę."

Czyli z jakichś powodów słabszy więzień, być może chory, pracował gorzej, otrzymał poważne ostrzeżenie o groźbie odeślania, na co zareagował wzmożonym wysiłkiem, kosztem swojego zdrowia, na prefabrykacji nie mogło być prawdziwych bumelantów. nikt bez poważnych powodów nie ośmieliłby się narażać kolegów, praca była przecież zespołowa.

Kronika, str. 77 :

„Więzień Al. R. skaleczył się w rękę, po czym zgłosił się natychmiast do radiowęzła, by się usprawiedliwić, że nie jest stanie wykonać zobowiązań."

W tym czasie Zdzisław Kasiarz pisał do rodziny:

„Jaworzno 5 listopada 1951 roku: Kochani Rodzice! Gdy pracowałem - przy stole wibracyjnym w Cynie Lipcowym, miałem 150 % normy przeciętnej z całego miesiąca. Zawiązaliśmy Wartę Pokoju z okazji Złotu Młodzieży Demokratycznej. Wykonałam przez dzień 300 pustaków DMS. Liczę na dobrą opinię z więzienia.

Proszę cię Matulu, nie martw się o mnie, przyjmij ten list tak jak kiedyś z obozów harcerskich. Staraj się sobie wytłumaczyć, że ja obecnie nie istnieję..."

Potem był dopychaczem na szybie upadowym „Feliks”, na kopalni „Komuna Paryska”. Pchał puste koleby po szynach do przodka, ręcznie ładował węgiel.

„Najgorsze było także i to, że ludzie patrzyli na nas jak na zbirów, jak rzeczywiście na bandytów. I myślę, że w potocznej opinii w Jaworznie byliśmy bandytami, należał o się nas bać, a nam. należał się nasz los.

„Pamiętam, jak kiedyś złachmaniony, brudny, głodny, usiadłem na chwilę, a normalni górnicy omijali mnie ze wstrętem. Straciłem wtedy wiarę, że to się kiedyś skończy, że wrócę do zwykłego życia.”

Rodzice przystali mu właśnie wiadomość o śmierci jego starszego brata. Zmarł na gruźlicę. Teraz nie mógł poddawać się żadnym zwątpieniom, przynajmniej on musiał przeżyć. Wtedy przestał śnić o ucieczkach.

Szczepan Pogodziński pracował przy budowie elektrowni Jaworzno II, potem, w kopalniach „Wesoła”, „Lenin”, strasznie, katorżnicze warunki.

„Byliśmy pozbawieni wszelkich praw, nic nie znaczyliśmy. Byłem wózkowym, na śmierć i życie związanym z wózkiem. Nadzór górniczy traktował nas jak pociągowe zwierzęta.”

Wojciech Machulik:

„W kopalni „Sobieski” pracowaliśmy bez ubrań ochronnych. Gołymi rękami rwaliśmy węgiel. Kiedy wracałem do obozu, nie mogłem chwycić łyżki. Przechylałem talerz i siorbałem jak pies.”

Strażnicy robili sobie z tego żarty. Zaczęły już wtedy do obozu przyjeżdżać transporty kryminalnych. Mieli oni lepsze porozumienie z kadrą i lepsze warunki pracy. Jak czegoś nie dostali, to nie próbowali dyskutować, tylko brali się do bicia. Doszło do tego, że funkcjonariusze też zaczęli się ich bać. Zaczęli rządzić kryminalni, a to jest najgorsze, co każde więzienie może spotkać.

Naczelnik Jądzejowski:

„Próby ingerencji aktywu w swoje postępowanie, kryminalni kwitowali często biciem funkcjonariuszy.”

Cała koncepcja „Więzienia Progresywnego”, we wszystkich punktach, uległa załamaniu.

„Chcieliśmy im stworzyć małą Polskę. Prawdziwą Polskę w miniaturze. Chcieliśmy wychować nowego człowieka dla nowych pokoleń”. Powtarza Henryk J.

W grudniu 1954 roku rozwiązano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Stanisława Radkiewicza mianowano ministrem PGR.

Od 1954 roku byliśmy osamotnieni w swoich wysiłkach. Wszystkich więźniów zabrali kopalnie. Po obozie przechadzali się kryminalni z wielkimi „machajchrami”, - pożałił się, - Jan K.

Powoli zaczęto zwalniać politycznych. Kiedy likwidowano obóz w Jaworznie przeważali więźniowie kryminalni. Nic ich nie obchodziły pogadanki ani Pałac Kultury, którego makietę wystawiono na placu apelowym. Nie potrzebowali sceny teatralnej, ani książek, zresztą, prawie nie umieli czytać. Wychowawcy odzwyczaili się od takiego elementu.

Kazimierz Koźniewski w książce „Bunt w więzieniu”, opartej na pewnych zdarzeniach z Jaworzna, najpewniej opowiedzianych przez kogoś z kadry. (Niech Pani pojedzie do Opola i pogada z Piątkowskim - radził w liście), pisał: „Przedtem obaj rozumieliśmy sens i urok tego słowa. Więzienie fatalnie zmieniło się od tamtego czasu, od przybycia kryminalnych. Dla żadnego z nas nie ulegało to najmniejszej wątpliwości, wszystko podupadło i tryby maszyny skrzypiały, jak źle naoliwione.”

Administracja więzienia dzielnie broniła się przed zwalnianiem więźniów politycznych. Naczelnik Jędrzejewski skarżył się w swoich notatkach: „dotąd wypuszczano więźniów na zwolnienia warunkowe tylko na wniosek kierownictwa i w szczególnych przypadkach. Taki argument w rękach kierownictwa miał ogromną siłę pedagogiczną. Obecnie zwalnia się wprost masowo, (w 1953 r. przyp. G.K.), ma to fatalny wpływ wychowawczy na więźniów. Są przekonani, że i tak wkrótce wyjdą. Kierownictwo jest w tej sprawie bezradne...”

„Nie pozwolę, żebyście sobie myśleli, że w Jaworznie siedziało się za niewinność!” Grzmiał podczas kolejnych zwolnień.

„Pamiętam, nie mogłem uwierzyć, wyszedłem pierwszy. Widocznie w moich aktach było coś wyraźnie nie tak.

Wychowawca mnie zawiadomił, żebym teraz nie podpadł, że wychodzę. Koledzy płakali, kiedy zbierałem się, byłem szczęśliwy.

Dopiero na wolności okazało się co to znaczy siedzieć w Jaworznie. Ani pracy, ani szkoły, każdy zamykał przede mną drzwi, przez dziesiątki lat SB przychodziło zakłócać mi spokój. Kto raz trafił do Jaworzna, nigdy już niego nie wyszedł, dla władz zostawał tam na zawsze.” - mówi Ryszard Gisterek.

„Nauczyłem się wszelkimi sposobami ukrywać, że byłem w Jaworznie”, powiedział Szczepan Pogodziński.

„Dokonywałem cudów konspiracji, wazyłem się na wiele, dzięki temu mogłem się uczyć. Mam żelazne nerwy. Do pracy - nie, do szkoły - nie. Pójść i palnąć sobie w łeb, taka była nasza wolność...”

„W każdym przedsiębiorstwie siedział pracownik UB, miał wszystkie dane, nie było szans. Zaraz dostałem powołanie do wojska, do Korpusu Górniczego. Znowu do kopalni. Tym razem była to kopalnia „Kleofas”, mówi Zbigniew Pawłowski. „To idzie młodość, młodość, młodość, śpiewa” - uczył się w wojsku nowych piosenek. Już, dawno nie był młody.

W maju 1955 roku. w Jaworznie, wybuchł bunt. Wkrótce obóz przestał istnieć.

„Nie wiadomo dlaczego?”, dziwią się do tej pory funkcjonariusze, - „za tego j e d n e g o zabitego więźnia?”

Posłowie wystąpili z interpelacją do Gomułki, że takie obozy jak Jaworzno nie powinny istnieć. Gomułka się przestraszył - dopowiada któryś.

Terenowym władzom też się obóz się nie podobał. Zaczęło im przeszkadzać. że w hitlerowskim obozie koncentracyjnym władza ludowa urządziła sobie pokazowe więzienie. I to prawie w środku miasta. Pamiętajcie, że w 1956 roku wszystkim nam było gorąco...

„Mnie mówisz, jak było?” - odzywa się Stanisław Ł. - „Po likwidacji obozu przeniosłem się do Komitetu Miejskiego w Jaworznie. Nic specjalnego, byle przeczekać. Płace dość marne. Ale jak się zrobili zamieszki, jak ludzie naparli, to nas po prostu o mało nas nie roznieśli. Rozwalili komitet. - „Bardzo paskudnie nas potraktowali”, potakują. Wszyscy po krót-

kich przygodach w milicji, wrócili do więziennictwa i spotkali się w Łławie.

Ogólnie biorąc uważają, że w życiu urządzili się dobrze. Czasem wspominają Jaworzno. Na przykład, czy któryś z tamtych, z tych pierwszych chłopców, pomyśli o swoich wychowawcach z Jaworzna? I co pomyśli?

A panowie jak. myślą o nich?

My? Ciepło, naprawdę ciepło.

Czterej panowie zbierają się do odejścia. Na pożegnanie radzą dokładnie przeczytać monografię naczelnika Jędrzejewskiego. - Napisana jest dobrym, zrozumiałym językiem - chwając że najczęściej używanymi słowami w pracy Zdzisława Jędrzejewskiego są: „Władza, partia, treść ideologiczna, wiochrzyciele, wywrotowcy, odpór, wrogie elementy, bitwa, instynkt masowy, aparat polityczny, hasło, agentura, współzawodnictwo, przełom, antypańtwowość, nieprzejednana walka...”

Tymi słowami zdołał opisać pięć lat życia swoich funkcjonariuszy.

Jest wieczór. Cztery siwe głowy niewinnie bieleją na tle ulicy i giną w zmierzchu.

Grażyna Kuźnik



Obelisk upamiętniający istnienie Więzienia Progresywnego, postawiony w 1992 roku obok dawnego Domu Kultury. Ogromny wkład w jego postawienie wniósł nieżyjący już Mieczysław Jaworski.

Według ustaleń Komisji Historycznej

ZMWP „JAWORZNIACY”

w obozie w Jaworznie, w czasie od marca 1945 do
czerwca 1956 roku, zmarło 6.935 osób.

Podział zmarłych na grupy wiekowe:

Do 1 roku	zm. 5 osób
w wieku lat 2	zm. 4 osoby
w wieku lat 5	zm. 1 osoba
w wieku lat 14	zm. 3 osoby
w wieku lat 15	zm. 7 osób
w wieku lat 16	zm. 17 osób
w wieku lat 17	zm. 19 osób
w wieku lat 18	zm. 26 osób
w wieku lat 19	zm. 25 osób
w wieku lat 20	zm. 42 osoby
w wieku lat 21	zm. 25 osób
w wieku lat 22	zm. 16 osób
w wieku lat 23	zm. 19 osób
w wieku lat 24	zm. 21 osób
w wieku lat 25	zm. 23 osoby
w wieku lat 26	zm. 30 osób
w wieku lat 27	zm. 20 osób
w wieku lat 28	zm. 23 osoby
w wieku lat 29	zm. 21 osób

w wieku lat 30	zm. 21 osób
w wieku lat 31	zm. 31 osób
w wieku lat 32	zm. 33 osoby
w wieku lat 33	zm. 38 osób
w wieku lat 34	zm. 66 osób
w wieku lat 35	zm. 61 osób
w wieku lat 36	zm. 80 osób
w wieku lat 37	zm. 87 osób
w wieku lat 38	zm. 97 osób
w wieku lat 39	zm. 104 osoby
w wieku lat 40	zm. 182 osoby
w wieku lat 41	zm. 128 osób
w wieku lat 42	zm. 157 osób
w wieku lat 43	zm. 145 osób
w wieku lat 44	zm. 179 osób
w wieku lat 45	zm. 200 osób
w wieku lat 46	zm. 241 osób
w wieku lat 47	zm. 242 osoby
w wieku lat 48	zm. 207 osób

w wieku lat 49	zm. 225 osób
w wieku lat 50	zm. 247 osób
w wieku lat 51	zm. 226 osób
W wieku lat 52	zm. 221 osób
w wieku lat 53	zm. 209 osób
w wieku lat 54	zm. 203 osoby
w wieku lat 55	zm. 224 osoby
w wieku lat 56	zm. 210 osób
w wieku lat 57	zm. 271 osób
w wieku lat 58	zm. 194 osoby
w wieku lat 59	zm. 191 osób
w wieku lat 60	zm. 200 osób
w wieku lat 61	zm. 175 osób
w wieku lat 62	zm. 166 osób
w wieku lat 63	zm. 132 osoby
w wieku lat 64	zm. 121 osób
w wieku lat 65	zm. 136 osób
w wieku lat 66	zm. 81 osób
w wieku lat 67	zm. 75 osób
w wieku lat 68	zm. 64 osoby
w wieku lat 69	zm. 42 osoby

w wieku lat 70	zm. 41 osób
w wieku lat 71	zm. 33 osoby
w wieku lat 72	zm. 27 osób
w wieku lat 73	zm. 29 osób
w wieku lat 74	zm. 14 osób
w wieku lat 75	zm. 13 osób
w wieku lat 76	zm. 8 osób
w wieku lat 77	zm. 6 osób
w wieku lat 78	zm. 8 osób
w wieku lat 79	zm. 13 osób
w wieku lat 80	zm. 4 osoby
w wieku lat 81	zm. 3 osoby
w wieku lat 82	zm. 3 osoby
W wieku lat 83	zm. 2 osoby
W wieku lat 84	zm. 2 osoby
W wieku lat 88	zm. 1 osoba
W wieku lat 89	zm. 1 osoba
W wieku lat 90	zm. 1 osoba
Co do 467 osób	Brak danych.

Śmiertelność latach:

Rok 1945	5.164 osoby
Rok 1946	1.245 osób
Rok 1947	303 osoby
Rok 1948	180 osób
Rok 1949	13 osób
Rok 1950	2 osoby

Rok 1951	7 osób
Rok 1952	5 osób
Rok 1953	2 osoby
Rok 1954	1 osoba
Rok 1955	3 osoby
Rok 1956	1 osoba
Brak danych	9 osób

Ilość zgonów w latach 1945 i 1946:

miesiące:	rok 1945	rok 1946
Styczeń	-	225
Luty	-	154
Marzec	5	138
Kwiecień	296	111
Maj	531	76
Czerwiec	505	151
Lipiec	575	113
Sierpień	996	76
Wrzesień	849	50
Październ.	814	48
Listopad	329	45
Grudzień	264	58



Pomnik w lesie gdzie spoczywa większość ofiar zamęczonych po wojnie w tak zwanym „Centralnym Obozie Pracy Jaworzno”. Na poziomych płytach napis w języku niemieckim, polskim i ukraińskim, informuje kogo ten pomnik upamiętnia.

Pomnik ten jest często beczeszczony przez wandalów.

INDEKS NAZWISK

Augustynowicz Aleksander	31
Adamski Tertulian	2.
Bednarski Józef	43
Biernacki	32.
Bierut Bolesław	8, 46, 49, 75, 77, 84.
Bodniewicz Bruno	14.
Bułowa	22.
Bunschek Erna	43, 44.
Byrski Piotr	2.
Chochół Stefan	12, 48, 58.
Cieślak Stefan	71.
Cylichowski Marcelli	79, 80.
Czapjewski R.	49.
Czechowicz Zbigniew	68.
Dmowski Roman	66.
Dymowski Benedykt	58.
Fink	36.
Gisterek Ryszard	64, 72, 96.
Gojawiczyński Tadeusz	64, 67, 68, 83, 92, 93.
Grundmajer Zygmunt	67, 69.
Ilkiewicz Mikołaj	2, 48.
Jabłoński Stefan	33.
Jakubowska	79.
Jarochowska	53.
Jędrzejewski Zdzisław	2, 13, 47, 48, 49, 74, 75, 78, 81, 82, 84, 85, 92, 95, 97.
Kacprzyński Mirosław	8.
Kaniewicz	66.
Kapuściński Jan	7, 34.
Kasiarz Zdzisław	64, 69, 70, 76, 83, 86, 87, 88, 92, 93.
Kazimierski Wacław	33.
Kempa Zenobia	66.

Kiełtyka	72.
Kozłowski Andrzej	64, 66, 67, 76, 83, 91.
Koźniewski Kazimierz	8, 9, 48, 53, 55, 57, 63, 95.
Królak	12.
Kryszczyński Mirosław	34, 51.
Leśniak Stanisław	74.
Leśniak	78.
Lewicki	79.
Liebeskind	72.
Machulik Wojciech	12, 14, 40, 41, 57, 64, 73, 87, 92, 94.
Makarenko Antoni	2.
Małkowski Andrzej	69.
Matoszko Alfreda	66.
Michno Jan	77.
Miłowski	32.
Mordasow Jan	21, 41, 43.
Morel Salomon	2, 3, 8, 9, 21, 23, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 49, 51, 60, 62, 83, 84, 92.
Mossor	12.
Mrożek Sławomir	55.
Mularczyk Andrzej	39, 40.
Niesporek Dorota	7.
Niesporek Jadwiga	7.
Niesporek Karol	7.
Pawłowski Zbigniew	32, 64, 70, 71, 96.
Pełka Józef	77.
Pfütz Bruno	14, 41.
Piątkowski Franciszek	2, 60, 62, 81, 95.
Planczewski Franciszek	33.
Pogodziński Szczepan	64, 77, 94, 96.
Półcwiartek Józef	52, 77, 85, 86.
Prokopczuk Jan	77.
Pyka Wincenty Bogusław	9, 51, 77, 84.
Radkiewicz Stanisław	29, 30, 48, 49, 54, 55, 95.
Różycki Franciszek	77.
Sławiński	48.

Słomczyński Maciej	15.
Sołżenicyn	65.
Speer Albert	13.
Staniszewski Włodzimierz	31.
Stojanowski	66.
Śliwiński Jerzy	74
Śliwowski Jerzy	50.
Świderski Jan	8.
Tatar	12.
Terebus Danuta	56.
Tomasik	53.
Topolski	30.
Toporowski Zbigniew	51.
Utnik	12.
Walczak	81.
Wieczorek Stefan	33.
Wierzbicki P.	50.
Wojdala Jerzy	2.
Wojtasik Stanisław	67.
Wygodzki	54.
Zajac Hildegarda	43.
Zegar	81.
Żymierski Rola Michał	48.